

WOLNOSC I NIEPODLEGLOSĆ



17

Lipiec
1985

bl. Jag

WP
WYDAWNICTWO POLSKIE

DEKLARACJA IDEOWA

KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ

Jesteśmy kolejną zmianą w długim pochodzie pokoleń. Już ponad dwieście lat, od czasów Konfederacji Barskiej, społeczeństwo tysiącletniej Rzeczypospolitej prowadzi walkę o niepodległy byt państwowy. Czterdzieści lat mija, gdy pod ciosami hitlerowskich Niemiec i komunistycznej Rosji upadło Państwo Polskie. Zbliża się trzydziesta piąta rocznica niesławnej pamięci układów jałtańskich, w których mocarstwa zachodnie - wbrew głoszonym przez siebie szczytnym hasłom międzynarodowej sprawiedliwości i demokracji - usankcjonowały postanowienia ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej i podporządkowanie Polski radzieckiej hegemonii. PRL - rządzona totalitarnie przez PZPR, stanowi współczesną formę zinstytucjonalizowanego władztwa rosyjskiego nad Polską.

Dziś naród polski znów budzi się i przestaje przygięty niewolą kark. Wkraczamy w nową fazę naszych dziejów. Od nas - przede wszystkim od nas samych zależy, kiedy Polska odzyska niepodległość, a naród polski możliwość stanowienia o swoim losie.

Tradycja historycznej Rzeczypospolitej było, że w chwilach narodowej potrzeby Obywatele zawiązywali konfederację w obronie swych praw i w obronie Ojczyzny. Utworzenie Konfederacji Polski Niepodległej, KPN - jest odpowiedzią na wyzwanie, wobec którego postawił Polaków zmieniający się czas. Pojawiająca się szansa stworzenia niepodległej i demokratycznej Trzeciej Rzeczypospolitej - nie może zostać zaprzeczona. Jedyną drogą prowadzącą do tego celu jest usunięcie radzieckiej dominacji, przez likwidację władzy PZPR.

Konfederacja Polski Niepodległej jednoczy działania i wysiłki na rzecz niepodległości. Skupia osoby działające indywidualnie, oraz różne ugrupowania, odmienne w widzeniu wielu kwestii ideowych, społecznych i politycznych, lecz wierne nadrzędnej sprawie n i e - p o d l e g ł o ś c i .

Stanowi ośrodek krystalizacyjny współczesnego Czynu Niepodległościowego. Zmierza do zespolenia tych wszystkich, których łączy wspólne przekonanie, że:

1. Niepodległa Rzeczpospolita jest jedyną formą, jaka we współczesnym świecie zapewnia należyta egzystencję, możliwość rozwoju oraz spełnienie narodowych i indywidualnych aspiracji Polaków.
2. Utworzenie Rzeczypospolitej może nastąpić tylko w rezultacie realizacji zasady samostanowienia narodu i zależy przede wszystkim od woli i działań Polaków.
3. Samostanowienie narodu polega na swobodnym wyrażaniu woli społeczeństwa co do:

- suwerenności międzynarodowej państwa,
- ustroju społecznego i państwowego,
- władzy kierującej państwem.

Wyrazem samostanowienia narodu jest powszechny ustroj demokratyczny, normujący życie wewnątrz państwa, oraz polityczną niezawisłość od jakichkolwiek czynników zewnętrznych.

GENEZA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Pułkownik dyplomowany Kazimierz Pluta-Czachowski, należał do najbardziej zasłużonych i ofiarnych uczestników walk o niepodległość w ostatnich 60 latach. Żołnierz I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego, członek Polskiej Organizacji Wojskowej, uczestnik III Powstania Śląskiego. W 1939 roku szef sztabu 18 DP. W czasie okupacji współorganizator Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Od 1941 członek Komendy Głównej AK i szef oddziału łączności. Żołnierz Powstania Warszawskiego. Więzień polityczny w latach 1949-1956. Współorganizator konspiracyjnego nurtu niepodległościowego od roku 1959. Czynny członek honorowy Konfederacji Polski Niepodległej. Do ostatnich lat życia aktywny w pracy niepodległościowej.

Geneza Powstania Warszawskiego

W miarę postępów na froncie wschodnim wojny, oraz zniszczeń i znużenia Niemiec, zaczął psuć się stosunek ZSRR do Rządu RP. Aż w kwietniu 1943 roku Marszałek Stalin zerwał z tym sojuszem. Dla ministra spraw zagranicznych Mołotowa zaistniał znów stosunek do Polski, jako do "bękarta Traktatu Wersalskiego".

Stawało się widoczne, iż wojska ZSRR przjdą w ślad za Niemcami do Polski i że nie będą uznawać stanu niepodległościowego, reprezentowanego przez czynniki Podziemnego Państwa. Plan operacyjny "W" stracił więc swoją aktualność. Plan ten opracowany w 1942 roku, noszący też nazwę "Planu powstania powszechnego" polegać miał na jednoczesnym uderzeniu na wiele placówek niemieckich na terenie całego kraju, w czasie gdy wojska niemieckie będą szykowały się do wycofania z terytorium Polski. Efektem planu miało być wyzwolenie części kraju przed wkrocze-

niem Rosjan. Warunkiem wydania rozkazu dla planu "W" miała być przjazna postawa Związku Radzieckiego (wobec Polski - przyp. red.). Zarysowała się nowa faza tragedii w tragicznych dziejach narodu. W tej sytuacji przystąpiono w Szefostwie Operacji Komendy Głównej do opracowania innego ogólnego planu operacyjnego, który otrzymał nazwę "planu operacyjnego "BURZA". Zaczęto go projektować na zlecenie generała Grot-Roweckiego już od marca 1943 r. Po ścisłym uzgodnieniu jego celów z Delegatem Rządu i przewodniczącym Politycznego Komitetu Porozumiewawczego, przedstawiono jego założenia Naczelnemu Wodzowi. Miał ten nowy plan zastąpić "Plan W" i przekształcić się pod postacią "Burzy" w owo apogeum działalności państwa podziemnego w zbliżającej się końcowej fazie wojny i w fazie zbliżającej się klęski Niemiec. Już nie chodziło w nim o uwolnienie kraju spod okupacji niemieckiej w drodze jednorazowego powstańczego uderzenia, gdyż

zanosiło się, że będzie on "uwolniony" (zajęty) przez wojska ZSRR. Wobec tego chodziło o to, by nie dopuścić do wyeliminowania naszego podziemnego państwa z udziału w tym "uwalnianiu" go od Niemców, do czego dążył obecnie min. spr. zagr. Mołotow. Zamierzał on wprowadzić na nasze miejsce pośpiesznie organizowane w ZSRR, od maja 1943 r., zależne od ZSRR, oddziały Ludowego Wojska Polskiego, i zastąpić nas nimi w obozie alianckim.

Plan "Burza" zaistniał pod koniec 1943 r. Przewidywał on zamiast jednego, generalnego powstania, szereg lokalnych powstań zarządzanych nie przez Komendanta Głównego, lecz przez Komendantów Okręgów z chwilą gdy, w ślad za cofającymi się Niemcami, wkraczać będą na teren danego Okręgu, wojska radzieckie. Powstania te miały za zadanie uderzać od tyłu na punkty (miasta, wsie, odcinki) bronione przez Niemców, a atakowane od frontu przez oddziały ZSRR. Miały nastąpić we wszystkich Okręgach w kraju. Ich rozpoczęcie nie mogło być uzgadnianie przez K-tów Okręgów z dowództwami radzieckimi, gdyż nie było stosunków dyplomatycznych między Polską i ZSRR i rząd ZSRR nie życzył sobie tego. Niemniej Okręgi musiały wykonać plan "Burza", przy czym dowódcy oddziałów powstańczych, mieli rozkaz, uzgadniać, tam gdzie to było możliwe, swoją akcję taktyczną z dowódcami oddziałów radzieckich. Po wykonaniu tak spowodowanej wspólnej walki, miejscowy dowódca AK i miejscowy delegat Rządu RP mieli się ujawnić przed władzami radzieckimi i powitać ich, jak miejscowi gospodarze - mieli wtedy ofiarować im pomoc w sprawach gospodarczych i innych, przez ujawnioną przez siebie, już istniejącą w czasie konspiracji, miejscową administrację polską. Miejscowa AK miała się ujawnić i przejść do formowania oddziałów w myśl planów Polskich Sił Zbrojnych. Byłoby to równocześnie demobilizacja podziemia i jego likwidacja.

Akcje "Burzy" wystąpiły od wiosny 1944 roku najpierw w kresowych Okręgach: Wileńskim, Nowogrodzkim, Poleskim, Wołyńskim i na

obszarze Lwowskim - zaraz potem w okręgu Lubelskim i Białostockim. Walki w Wilnie i Lwowie (czerwiec 1944) miały charakter powstań wewnętrznych miast. W każdej z tych walk "Burzy" strona radziecka przyjęła pomoc, ale bezpośrednio po walce następowało rozbrojenie oddziałów polskich przez radzieckie siły bezpieczeństwa (NKWD) i likwidacja polskich organów administracji państwowej. Rozbrojonych aresztowano i deportowano do ZSRR lub czasem wcielano do oddziałów Ludowego Wojska Polskiego. Zadawano oczywiście gwałt woli narodu, reprezentowanej przez uznawane w kraju sektory podziemnego państwa. Działo się to na oczach obozu alianckiego, który nie przejawiał żadnej reakcji ani na widoczne, ani na zgłaszane mu fakty. Dopełniał się jeszcze raz tragiczny los żołnierzy tego kraju, który był inicjatorem wojny światowej przeciw faszyzmowi oraz współtwórcą i najstarszym członkiem koalicji antyhitlerowskiej.

Warszawa - miasto, tworzyła w czasie okupacji Stołeczny Okręg AK o kryptonimie "Drapacz". Dowodził nim płk. dypl. "Monter" - Antoni Chruściel. W stanie ewidencyjnym członków cywilnych posiadał on ponad sto tysięcy ludzi, a w stanie bojowym 800 plutonów i 49.160 żołnierzy w linii.

Do lipca 1944 r. nie była przewidziana akcja "Burza" wewnątrz Warszawy - przestrzegano starej zasady: nie wywoływania walki w wielkich miastach, która mogłaby w razie niepowodzenia - spowodować masakrę ludności oraz nadmierne straty materialne w dobytku narodowym. Plutony warszawskie miały wystąpić na zewnątrz miasta - bądź w atakach na korzyść oddziałów ZSRR, jak w innych Okręgach, bądź dla odbijania mieszkańców stolicy, gdyby ich chcieli wywozić do Niemiec, a samo miasto zburzyć - zapowiedzi takie lansowano od dawna. Tego rodzaju tragicznej sytuacji nie miał żaden naród w świecie i w tej wojnie. Nic więc dziwnego, że ogólna determinacja wybijała się ponad wszystkie nastroje w Warszawie. W tej atmosferze w dniu 20.VII powzięto na szczepku KG AK zamiar, a w dniu 22.VII uzyskano zgodę Kom. Głównego

nego i Delegata Rządu oraz przewodniczącego Rady Jedności Narodowej - na wykonanie powstania lokalnego w samym mieście. A powzięto je pod wpływem ostatecznie determinującej wiadomości, otrzymanej z Naczelnego Dowództwa (Komunikat Nacz. Wodza dla Kmta Głównego AK za czerwiec 1944r., odszyfrowany 7.VII.44), że w Teheranie, w listopadzie 1943 roku trzy mocarstwa zdecydowały zaocznie, iż Polska, w związku ze zbliżającym się końcem wojny, zostaje włączona do "strefy interesów ZSRR" (dotychczas znajdowała się w angolskiej strefie wpływów). Zostało to zrozumiane w kraju, iż Polska stała się znowu, jak kiedyś na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku przedmiotem przetargu terytorialnego między mocarstwami. Że znowu - bez niej - zdecydowano o niej! Potraktowano tę wiadomość, jako nową zdradę - już drugą w tej wojnie - ze strony sojuszników i jako policzek wymierzony wolnemu narodowi, mającemu broń w ręku.

Generał "Niedźwiadek" - Leopold Okulicki niedawno mianowany Szefem Operacji KG AK (przybył 22.V. zrzutem lotniczym z II Korpusu przywożąc jego nastroje) domagał się protestu ze strony Warszawy - "Miasta Niezłomnego" - stolicy narodu, do niedawna nazywanego na Zachodzie "Natchnieniem Narodów" w walce o wolność Świata. Wobec tego, że to rządy alianckie pozbawiają nas praw i wolności, nasz protest powinien być wykonany, nawet gdybyśmy mieli zakopać się w gruzach miasta, bo musi być tak mocny, aby go usłyszała cała opinia społeczeństw wolnego świata. Jak wspominałem wyżej, władze wszystkich trzech sektorów wnioski "Burzy" w Warszawie zaakceptowały.

Ponieważ wojska radzieckie już przekroczyły Bug i zbliżały się ku Siedlcu i Puławom - w Niemczech miał miejsce zamach na Hitlera, to wzmagало się napięcie w nastrojach ludności Warszawy i rósł niepokój wśród Niemców w Warszawie. Wydawało się, że już nadchodzi czas naszego wystąpienia. To też Kmdt Główny zarządził, na wniosek Sztabu KG "Stan czujności" dla KG AK, oraz dla obszaru i Okręgu Warszawskiego.

Pod wpływem wciąż narastającego napięcia w nastrojach miasta, podniecanych teraz także przez radio-

stacje z obszaru ZSRR, wzywające ludność Warszawy do powstania Kmdt Okręgu "Monter" zarządził w dniu 27.VII "stan pogotowia" dla Okręgu. Powstanie nastąpiło w dniu 1.VIII o godzinie 17-tej. W zaistniałej sytuacji stało się akcja samą w sobie - skazaną na własne siły.

Uderzenie powstańcze nie zdążyło rozbić Niemców i opanować całej Warszawy. Ale się nie załamano i trwało w formie działań zaczepnych jeszcze przez trzy kolejne dni. Jednak i one nie mogły dać większych sukcesów. Zatem nastąpiła niezamierzona przedtem, ale chwalebna dla żołnierzy, dla ludności Warszawy i dla dowodzących walką - operacja zaczepno-obronna, trwająca przez następne 60 dni bezprzykładnej walki i bezprzykładnego bohaterstwa. Była to dalej walka najzupełniej odosobniona, która po wyczerpaniu sił i środków bojowych musiała zakończyć się kapitulacją.

Operacja "Burza" realizowana w kraju w ciągu 10 miesięcy 1944 roku była uzupełnieniem i wzmożeniem wykonywanych bez przerwy tysięcy akcji, wynikających z planu walki konspiracyjnej w kraju. Uzupełniły ją trzy duże powstania, 83 duże kilkudniowe operacje, 300 mniejszych bitew i wiele setek potyczek oraz tysiące drobniejszych uderzeń w całym kraju.

Dało to w wyniku potężną zdobycz: w jeńcach, broni, sprzęcie transportowym; spowodowało utworzenie pięciu przyfrontowych republik partyzanckich.

Stanowiło to zamierzone apogeum w walkach Armii Krajowej i Podziemnego Państwa. Powstanie Warszawskie przewyższyło wszystkie tego rodzaju działania w walkach podziemnych w Europie w II wojnie światowej. Było jedyną operacją podziemia stoczoną na ziemi, w podziemiu i w powietrzu. Było wynikiem sytuacji politycznej w jakiej znalazła się Polska w obłocie sojuszniczym. Było skierowane przeciw międzynarodowej przemocy i miało z tego powodu znaczenie polityczne i ideowe w rozumieniu starego polskiego hasła "Za wolność naszą i waszą".

płk. dypl. Kazimierz Pluta-
Czachowski
"Kuczaba"

...

Byłeś jak wielkie, stare drzewo
narodzie mój jak dąb zuchwały,
wezbrały ogniem soków żrałych
jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I jeśli ciebie cieśle orać
i ryc cię rylcem u korzeni,
żeby twój głos, twój kształt
odmienić,
żeby cię zmienić w sen upiora.

Jeśli ci liście drzeć i ścinać,
byś nagi stał i głowę zginał.

Jeśli ci oczy z ognia łupić,
byś ich nie zmienił wzrokiem
w trupy.

Jeśli ci ciało w popiół kruszyć,
by wydrzeć Boga z żywej duszy.

I otoś stanął sam, odarty,
jak martwa chmura za kratami,
na pół cierpiący, a pół martwy,
poryty ogniem, batem, izarci.

W wielości swojej - rozegnany,
w miłości swojej - jak pień
twardy,
haki pazurów wbijeś w rany
swej ziemi. I śniesz sen pogardy.

Lecz kręci się niebiosów zegar
i czas o tarczę mieczem bije,
i wstrząśniesz się z poblaskiem
nieba,
posłuchasz serca: serce żyje.

I zmartwychwstaniesz jak Bóg
z grobu
z huraganowym tchem u skroni,
ramiona ziemi się przed tobą
otworzą. Ludu mój! Do broni!

IV.43 r.

Jaka przyszłość ?

Fodajemy fragmenty wypowiedzi jednego z czołowych przywódców KPN, wygłoszone w lutym 1985 roku na jednym z konspiracyjnych spotkań.

/Tekst nieautoryzowany - red./

Program KPN-u składa się jakby z dwóch części. Części, którą możemy nazwać maksymalistyczną lub, jak kto woli, częścią romantyczną. To jest nasza wizja Wielkiej Polski, którą sądzę, że jeszcze w tym dziesięcioleciu stworzymy - Wielkiej Niepodległej Trzeciej Rzeczy-

pospolitej, która najpierw powsta- nie, a później stanie się (już trudno mówić w jakim okresie czasowym) ośrodkiem, który z czasem zorganizuje naszą część Europy. I to jest ten nasz cel ostateczny, do którego idziemy, który widzimy i w zakresie tego celu jesteśmy na pewno roman-

tykami. Jest to cel, który idzie dużo dalej niż cel jakiegokolwiek innego ugrupowania politycznego w Polsce.

Ale równocześnie w naszej bieżącej działalności KPN jest pragmatyczna. Nasze działania prowadzą do tego wielkiego celu, ale w całkowitej zgodzie z warunkami rzeczywistości. Nie można prowadzić polityki w oderwaniu od rzeczywistości. Stąd też nasza linia polityczna wynika z tej rzeczywistości jaka jest w tej chwili. I na najbliższy okres jest następująca: musimy przygotować się do nadchodzącej eksplozji i to jest najważniejsze dla nas. Jest mniej ważne co my robimy teraz, najważniejsze jest czy będziemy zdolni w okresie eksplozji prowadzić takie działania jakie są od nas wymagane - jakich historia od nas wymaga. Odpowiedzialność za losy tego narodu wymaga od nas żebyśmy przygotowali się do tego i to jest dla nas rzecz najważniejsza. To jest pierwsza linia naszego działania. Ale druga sprawa jest taka, że nie możemy przespać okresu czasu do tej eksplozji. W tym okresie już wkrótce rozszerzając swoje działania i uczestnicząc w innych działaniach musimy stymulować, musimy wpływać na to, żeby nie tylko my, ale wszystkie związkowe, opozycyjne, podziemne i jawne siły wzmocniły presję na władzę, a podstawową formą presji na władzę w tej chwili jest zmusić ją do odwrotu, do ustępowania przed społeczeństwem. Jest to budowa jawnych działań niezależnych.

Cały wysiłek ostatnich lat naszych przeciwników politycznych, czerwonych, polegał na tym, żeby nas rozbić albo schować pod ziemię. Z warunków podziemnych nigdy nie można zwyciężyć, bo w podziemiu jest się tylko po to, żeby przetrwać. Teraz musimy z podziemia wyjść. To nie znaczy, że ze wszystkim. Powinniśmy zostawić w podziemiu to, co powinno być utajnione. To, co musi być strzeżone powinniśmy jeszcze głębiej w podziemiu schować, takie rzeczy jak: technikę wydawniczą, siatki łączności, rozmaite inne funkcjonalne struktury. Musimy je coraz bardziej w podziemiu chować. Ale równocześ-

nie trzeba budować jawną opozycję na nowo. Forpocztą tej jawnej opozycji były na przykład, czy są (bo to dopiero powoli niesłychanie, jak krew z nosa idzie) Komitety Walki z Przemocą, które powstały w kilku miastach. One zresztą były robione w jakimś uzgodnieniu, współdziałaniu KOR-u i KPN-u, bo te dwie siły były tutaj sprawcze. Stąd też te komitety są z reguły albo koroskie albo KPN-owskie. A to co my tworzymy te komitety? Ponieważ są one pierwszą forpocztą jawnie istniejących struktur opozycyjnych, którym władza nic nie może zrobić. Straszy - i nie może nic zrobić. I za komitetami będziemy wyciągać coraz to nowe formy działania. Wśród tych form działania, które będziemy wyciągać, a raczej będziemy zachęcać innych żeby wyciągali, bo to nie od nas zależy, to jest kwestia odbudowy jawnej "Solidarności", tzn. odbudowy "Solidarności" w zakładach pracy. Dzisiaj jeszcze nie ma prawdopodobnie w większości zakładów w Polsce warunków na to, żeby powstawały jawne komisje zakładowe "Solidarności", ponieważ tych ludzi wyrzuca z pracy. Ale już bardzo niedługo zbliża się czas, gdy będzie można w zespołach zakładów obok siebie, w jednym rejonie (bo to nie w pojedynczym zakładzie, tylko w grupie zakładów) będzie można powołać naraz 10 czy 20 komisji zakładowych "Solidarności" i oni wtedy nie będą w stanie im nic zrobić.

Pierwszym naszym sukcesem w budowie tych jawnych sił było wyprowadzenie Komitetów Przeciw Przemocy, których oni nie są w stanie ugryźć. Nic nie są w stanie im zrobić poza straszeniem, głównie przez radio.

W pewnym momencie wyjdą również inne formy, a wśród nich powinny wyjść (w każdym razie tak my sugerujemy "Solidarności" i nasi ludzie w "Solidarności" w tym kierunku działać będą), że w pewnym momencie należy wyciągnąć grupę jawnych komisji zakładowych, a jak się okaże, że władze nic im nie będą w stanie zrobić (bo nie będą), to po prostu otworzy to proces odbudowy

tego w całym kraju.

Nie należy czekać na porozumienie z panem Barcikowskim, który łaskawie zgodzi się na jakieś związki zawodowe, chrześcijańskie czy niechrześcijańskie, na jakichś tam warunkach. Ponieważ nawet bez strajku powszechnego i przed strajkiem można już niedługo to będzie robić. Może za parę tygodni, może za parę miesięcy, ja nie wiem, ale może już za parę tygodni.

Mówiąc inaczej, w okresie zbliżającej się eksplozji najważniejszą rzeczą jest stopniowe budowanie niezależnych od władzy, jawnych struktur. Struktur, których oni nie będą mogli ugryźć, jawnych struktur, które dotyczą wszystkich dziedzin życia, nie tylko Komitetów Przeciww Przemocy, nie tylko Związków Zawodowych, ale również struktur na zasadzie jakiegoś samokształcenia, na zasadzie klubów dyskusyjnych, jakichś uniwersytetów, takich jak np. ChUR, tzn. Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy w Nistrzejowicach, w Nowej Hucie, czy coś tego rodzaju.

To są na razie wysepki, a powstaje ich coraz więcej i całą falą jeżeli to ruszy to coś my robimy? My z jednej strony zmuszamy władzę do ustępstw, zdobywamy ich teren, organizujemy społeczeństwo, a wreszcie ustępstwa władz ciągną za sobą i pobudzają eksplozję społeczną. Ponieważ tak długo jak władza stoi w miejscu - nie cofa się, to ten napór społeczny może wzrastać. Tak jak woda przed tamą - może jej być coraz więcej. On wzrasta, ale ta tama się broń. Natomiast w momencie kiedy się władze zaczynają cofać to napór wody rośnie i ruch odwrotowy władz pociąga za sobą ruch społeczny. Dziś społeczeństwo jest w stanie apatii. Jednym z tych czynników, który zacznie budzić społeczeństwo to będzie odwrót władzy. Obecnie ten czynnik już jakoś działa, bo już te elementy budzenia się społeczeństwa, w bardzo minimalnych rozmiarach, ale już możemy obser-

wować. Tego będzie z czasem coraz więcej i my musimy nie tylko czekać aż władza sama się będzie cofała, ale pchać ją jak najbardziej, a równocześnie budować już dzisiaj jawne, silne struktury.

Działalność opozycyjna, działalność konspiracyjna, która przez 3 lata była działalnością najważniejszą, w tej chwili staje się działalnością uzupełniającą. Oczywiście nie zbędna całkowicie, bo tam będzie schowana technika itd., wszystko to, co oni by chcieli zabrać. Jest to niesłychanie ważne, można powiedzieć, że to jest zasadnicze, że musimy zbudować to, co jest jawne i tym jawnym pchnąć. I pamiętać, że w pewnym momencie dojdzie do, może bardzo wielkiego, może mniejszego, ale może nawet bardzo brutalnego wybuchu społecznego. I na to musimy być przede wszystkim przygotowani, aby żywiołową eksplozję społeczną jak najszybciej zamienić w zorganizowane działanie. Dlatego, że żywiołowa eksplozja społeczna sama przez się rozleje się i szybko wygaśnie. A po drugie może prowadzić do najprzeróżniejszych nieprzewidzianych okoliczności. Może nawet doprowadzić do takiej sytuacji, kiedy, a na tym nam przecież jak najbardziej nie zależy, kiedy żywiołowość tej eksplozji spowoduje, że druga strona, czy tu, czy Rosjanie, sięgnie do kroków ostatecznych. Natomiast jeżeli będziemy w stanie od samego początku, czy bardzo szybko nad tą eksplozją zapanować, należycie ją ukierunkować, spowodować, żeby się nie rozplýwała, żeby uderzała w zasadnicze punkty i tam, gdzie chcemy, tak jak byśmy wyznaczyli, to po prostu będziemy mogli tę eksplozję przekształcić w powstanie narodowe. Ale nie w powstanie narodowe na zasadzie strzelania, bo to jest zbrojne powstanie, a to jest tylko jedna forma powstania, tylko powstanie narodowe, gdy rzeczywiście wszyscy Polacy powstaną dosłownie i zaczną nie tylko sami decydować, ale uporząd-

kuja, załatwia wszystkie sprawy.

Ale żeby to było takie powstanie narodowe to ono musi być powstaniem kierowanym. A żeby ono było kierowane, to musimy się do tego przygotować i być może podczas tej nadchodzącej eksplozji wszystko osiągniemy, wszystko, co na razie chcemy, czyli Polskę Niepodległą. Być może osiągniemy tylko połowę, być może jeszcze trzeba będzie czekać do następnego podobnego okresu, ale nawet jeżeli ona będzie zwycięska, to to zwycięstwo nie musi być całościowe. Ta eksplozja społeczna może jeszcze zakończyć się jakimś innym porozumieniem, czy coś takiego, że oni jeszcze jakiś czas przetrwają. Ale ona raczej będzie zwycięska; czy to będzie zwycięstwo całościowe to jeszcze nie wiemy. Jeżeli nawet nie będzie to zwycięstwo całościowe, to bardzo nas przybliży do zwycięstwa ostatecznego.

KPN będzie najsilniejsza i cały ciężar odpowiedzialności weźmie na siebie i wtedy ona, a nie żadne inne ugrupowanie będzie stać na czele społeczeństwa w końcowym momencie rewolucji. My musimy być silni, gdy będzie się rozstrzygała sprawa ostateczna, sprawa zwycięstwa - tzn. czy powstanie Polska niepodległa, a nie wcześniej. Wcześniej mogą być silniejsi od nas inni. I cała nasza linia polityczna, tak jak ona od 6 lat jest realizowana, polega ciągle na tym, że w końcowym decydującym momencie musimy być najsilniejsi. I będziemy najsilniejsi.

...

Jedna rzecz jest pewna: że większość społeczeństwa, jeżeli nie prawie całe społeczeństwo, będzie za KPN-em wtedy, kiedy KPN wygra. Tak zawsze jest.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku i po wygraniu wojny z bolszewikami w 1920, większa część społeczeństwa była za Piłsudskim, zdecydowanie większa część społeczeństwa. Natomiast 6 lat wcześniej, w 1914 roku w całym Królestwie Kongresowym, na ziemiach zaboru rosyjskiego po tej stronie Bugu, PPS, który był partią Piłsudskiego miał sześćdziesięciu paru ludzi. Gdy

Piłsudski, już po zajęciu przez Niemców Warszawy w 1915 roku, wysłał emisariuszy, żeby ludzie zaczęli coś robić w Warszawie, to zebrało się dosłownie 6 czy 7 ludzi. Piłsudski wyznaczył wielkie zadania, a oni oczywiście nie byli ich w stanie wykonać, bo było po prostu kilku ludzi nie nadających się do niczego. Natomiast większość społeczeństwa uważała, że poglądy Piłsudskiego, czy poglądy całego ówczesnego nurtu niepodległościowego, na którego czele stał Piłsudski, są poglądami daleko idącymi, awanturniczymi, że jest to z motyką na słońce itd., itd. Jest to zawsze cechą radykalnych ugrupowań, że one pociągają za sobą tylko mniejszość społeczeństwa. Ale radykalne ugrupowania mają jedną siłę, że w takich czasach w jakich my właśnie jesteśmy, w okresach wielkich, szybkich przemian, wielkich ruchów społecznych, właśnie w takich okresach, które trzeba nazwać okresami rewolucyjnymi, społeczeństwo się bardzo szybko radykalizuje. To nie znaczy, że ono się radykalizuje cały czas w tym samym tempie. To się odbywa z reguły skokami. Natomiast tak, jak widzimy społeczeństwo polskie, o ile społeczeństwo polskie jest bardziej radykalne dzisiaj w stosunku do roku 1979, jak się zradykalizowało w roku 81, jaki był skok, i później się w rozmaitych okresach radykalizowało. I teraz ruchy radykalne, takiej jak Konfederacja - im głębiej idziemy w rewolucję, tym więcej mamy ludzi za nami. Przyczyną nie jest to większość społeczeństwa. Tak samo też było z Konfederacją wcześniej.

Konfederacja, w momencie kiedy zaczął się sierpień 80 roku, liczyła w Polsce ok. 1,5 tys ludzi. Wszystkich - działających, niedziałających, chorych, zdrowych; starszych, emerytów - dlatego, że tam jeszcze było trochę takich, którzy od kilkudziesięciu lat już w tej niepodległościowej robocie brali udział, i już nie bardzo mieli siłę wstać z fotela, ale też byli w Konfederacji. A więc wszystkich razem było 1,5 tys.

Przez pierwszy okres "Solidarności" Konfederacja była źle odbierana przez społeczeństwo.

Zresztą przez znaczną część społeczeństwa jest do dzisiaj źle odbierana. Np. jak się zaczął strajk we Wrocławiu gdzieś tam poszły ulotki konfederackie, to robotnicy je niszczyli. Ale gdy zaczął w 1981 roku następować proces radykalizacji Konfederacji, to nagle, mimo oporów Konfederacji, zaczęli się ludzie do niej pchać. I przyszło w ciągu trzech miesięcy kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Za dużo przyszło. I więzienia trudno było tym wszystkim sterować. Krajowe kierownictwo sobie z tym nie radziło. Trzeba było zamknąć te bramy. Trzeba przyznawać tylko tych ludzi, których się uda zorganizować. Bo to nie chodzi o rzeczy ludzi, którzy mają legitymację, tylko o strukturę zorganizowaną. Ale w każdym razie, bez naszych żadnych wysiłków i bez naszych żadnych zachęt przyszło od razu kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na 37 mln to jest mało, ale w stosunku do 1,5 tys Konfederatów przedtem to te kilkadziesiąt tysięcy ludzi to było po prostu kilkadziesiąt razy więcej.

W każdym okresie radykalizacji poglądów społecznych, a radykalizacja będzie następowała wtedy, kiedy się coś zacznie dziać, to i ludzie najbardziej aktywni, najbardziej radykalni, a często najbardziej zwariowani, bo to rozmaicie bywa, będą do nas przychodzili.

Czy my osiągniemy większość? Nie, większość osiągniemy po zwycięstwie. Ale nam też większość społeczeństwa nie jest potrzebna. "Solidarność", która była strukturą bardzo luźną, miała 10 mln ludzi. Ale byli to ludzie niezorganizowani. Natomiast, jeśli nam się uda zorganizować, ale w zwartych strukturach Konfederacji, jakieś 500 tys. ludzi, to my władzę od razu przewrócimy. Będzie to wystarczające, żeby tę władzę przewrócić, bo na 500 tys. ludzi zorganizowanych oni nie mają siły. Oni sobie mogli radzić z 10 milionami, które były niezorganizowane.

Człowiek zorganizowany to jest człowiek, który stoi na swoim miejscu, jest ogniwem w łańcuchu, wie

co ma robić, dostaje impulsy, dostaje polecenia i to wszystko działa jak jedna wielka masa, jak jedna armia.

13 XII ludzie z "Solidarności" nie wiedzieli co robić. Wprawdzie mówiono im, że należy strajkować, a e mówić, że należy strajkować to jest jeszcze mało, bo muszą być jeszcze ludzie, którzy ten strajk zorganizują, którzy powiedzą: o, w tym momencie zaczynamy strajkować. Ci, pierwsi zaczynają strajkować, żeby pociągnąć innych. To nie jest taka sprawa, że to można na ap-1. My, na przykład siłą rzeczy popieramy apel Krajowej Komisji o strajk 28 II, ale ja przyznam się szczerze, że jestem przekonany, że on się nie może powieść, bo przy pomocy apeli się nie robi strajków. Trzeba je zorganizować, a nie apelować o nie. On zaostrzy sytuację itd., ale szansa żeby to się powiodło jest niewielka. Poza tym 15-minutowy czy półgodzinny strajk sam w sobie jest założeniem chyba trochę chybionym.

Czyli w miarę rozwoju społeczeństwa, radykalizacji społeczeństwa, nasze poparcie będzie wzrastało. Teraz można oczywiście powiedzieć, że społeczeństwo się nie będzie chciało radykalizować. Tak, nie będzie chciało. Zawsze tak jest. Ludzie się boją i to jest zupełnie zrozumiałe. Ludzie się boją przyszłości niepewnej, boją się tego co się będzie działo, boją się wszystkiego. I o to nie można mieć do ludzi pretensji, bo to jest naturalne. Nie bardzo są w stanie sobie wyobrazić co się może zdarzyć. Wiedzą, że mogą się zdarzyć rzeczy straszne, że tutaj wymaga się od nich jakichś wyrzeczeń, nie wiadomo co z nich będzie. Oczywiście społeczeństwo się boi w swojej masie. Tak jest zawsze. Tylko, że zawsze w momentach rewolucyjnych, takich w jakich jesteśmy w Polsce, zawsze w historii nie tylko Polski, ale każdego kraju nie przeszkadzało to, że to społeczeństwo szło do rewolucji. To wygląda nieraz zabawnie, bo to wygląda w ten sposób, że facet rano wychodzi do kiosku kupić gazetę czy przynieść mleko i w południe okazuje się,

te w charakterze bohatera narodowego zginął na barykadzie albo zdobył coś. Że nagle sam, nie wiadomo kiedy i jak się przyłącza do rewolucji i nie tylko przyłącza, ale bardzo często staje na jakimś czele i coś takiego robi.

Jeżeli spojrzymy w naszą polską historię innych narodów, w takie okresy zrywów rewolucyjnych, to właśnie widzimy masę takich przypadków, kiedy ludzie najdalsi od tego żeby w czymkolwiek uczestniczyć nagle są porwani przez ten straszny wir historii. I społeczeństwo, które do końca może nie chcieć tego, bo się boi - w pewnym momencie podrywa się. Bo mamy tutaj do czynienia z masowymi procesami żywiołowymi, które nie zależą od ludzkiej woli i nie zależą od ludzkiej świadomości. A w każdym razie zależą w niewielkim stopniu. Pamiętajmy, że te co nazywamy historią, czyli te przekształcenia w czasie, odbywają się w znacznej mierze żywiołowo. I przypadek bardzo często jest jakimś czynnikiem sprawczym, elbrzymim. A w ramach tych procesów żywiołowych ludzie nie chcąc tego i nie wiedząc w jaki sposób stają się radykalni. I to jest jedyna siła, ta mechanika tego procesu społecznego jest jedyną siłą, dzięki której radykalne partie raz po raz w historii, w różnych krajach, przeprowadzają udane rewolucje. Bo bez tych procesów żywiołowych nigdy by żadna radykalna partia nie przeprowadziła żadnej udanej rewolucji.

Jak się zaczynała Wielka Rewolucja Francuska, to w całej Francji takich rewolucjonistów z prawdziwego zdarzenia to można było wyliczyć 10, może 15. W większości zresztą podczas rewolucji francuskiej wyjeżdżali oni na emigrację, bo się bali, że ich powieszają jako buntowników. Dopiero później doczekali swego okresu i wtedy stanęli na czele tej rewolucji, która zwyciężyła. Która zresztą zaczęła się zburzeniem Bastylii w roku 1789, ale tak naprawdę to zaczęła się od roku 1792, czyli dopie-

ro po trzech latach naprawdę nabrała rumieńców. A przez te pierwsze trzy lata była to rewolucja, w której niebezpiecznie było być rewolucjonistą, bo już się trafiało do więzienia. Była to rewolucja, która nie tylko obaliła monarchię, ale i obcięła głowę królowi, chociaż przez pierwsze trzy lata rewolucja ta krzyczała "niech żyje król".

Więc jest to po prostu proces kiedy społeczeństwo się zmienia i samo nie wie w jaki sposób i dlaczego. I w Polsce oczywiście to następowało będzie podobnie. Czy jest sposób żeby to tak nie następowało? Owszem jest, jeden tylko: należy z Polakami zrobić to, co na przykład zrobione z Węgrami w trakcie węgierskiej rewolucji 1956 roku. Węgrów było wtedy 9 milionów, przyszli Rosjanie i z tych 9 milionów wymordowano, wywieziono na Syberię, albo zmuszono do emigracji jakieś 800 tys. - tj. około 10%.

Jeśli w Polsce stanie się coś takiego, że 10% Polaków i to głównie młodych Polaków, zostanie usuniętych - na tamten świat, na Syberię, do Stanów Zjednoczonych, gdziekolwiek, to wtedy rewolucja w Polsce zostanie przerwana. Tylko że w Polsce 10% to jest 3,5 mln. Ja nie bardzo sobie wyobrażam kto na świecie byłby w stanie takiej operacji na Polakach dokonać. Jaruzelski na pewno nie, Rosjanie też nie. A gdybyśmy byli w niewoli chińskiej, to wierzę, że Chinczyki byliby w stanie. Ale na szczęście nie jesteśmy.

/koniec zapisu magnetofonowego/

Represje

9 marca 1985 roku w Warszawie, w mieszkaniu prywatnym zatrzymano kilkanaście osób podejrzanych o działalność w KPN. Wśród aresztowanych był również Krzysztof Król, lat 22, Żonaty.

Jego Ekscelencja
Ks. Arcybiskup Bronisław
Dąbrowski
Episkopat Polski-Warszawa

Ekscelencjo, Czeigodny Księżu
Arcybiskupie!

Pozostając w pokłonie szacunku należnego Jego Ekscelencji, ośmielać się prosić Jego Ekscelencję o pomoc. Od 9 marca bieżącego roku przebywam w areszcie śledczym w Warszawie, przy ul. Rakowieckiej, osadzony za głoszenie swych poglądów politycznych. Sam ten fakt nie upoważniałby mnie do zabierania cennego czasu Jego Ekscelencji, gdyż wierzę, że nawet bez indywidualnych prośb Jego Ekscelencja, podobnie jak Ksiądz Prymas i cały Episkopat występuje w obronie "więźniów sumienia". Jednakże sytuacja nasza, jej rozwój, oraz stan mojego zdrowia skłoniły mnie do próby zwrócenia baczniejszej uwagi na Jego Ekscelencji na naszą sprawę.

Jesteśmy aresztowani pod zarzutem kierowania Konfederacją Polski Niepodległej, jako nielegalnym związkiem, mającym na celu przestępstwo. Powrót władz PRL do terminologii i praktyk z najgorszych dni stanu wojennego świadczy niestety o permanentnym niezrozumieniu dążeń i oczekiwań społecznych, a zwłaszcza potrzeb wynikających z polskiej racji stanu

i uwarunkowań międzynarodowej polityki. Przetrzymywanie w więzieniach przywódców "Solidarności" - Władysława Frasyniuka, Andrzeja Gwiazdy, Bogdana Lisa, doradcy "Solidarności" - Adama Michnika, czy działaczy KPN: Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego, Adama Słomki, Dariusza Słomki, Dariusza Wójcika i niżej podpisanego, oraz wielu innych osób, nie służy nikomu.

Istnienie więźniów politycznych nie sprzyja ani porozumieniu narodowemu, ani wzrostowi wiarygodności władz, ani też polepszeniu stosunków międzynarodowych, a przede wszystkim pokojowym nastrojom społecznym.

Wszak droga ku jakimkolwiek porozumieniom musi obejmować uwolnienie wszystkich więźniów politycznych, w przeciwnym wypadku społeczeństwo rozdrażnione pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, wzrostem kosztów utrzymania, zakłamaniem władz, atakami na Kościół oraz represjami - grozi niekontrolowaną eksplozją.

Istnienie więźniów politycznych wbrew temu, co twierdzi Jerzy Urban nie leży w naszym interesie, zaś przekazywana nam podczas śledztwa groźby wieloletnich wyroków, świadczą tylko o całkowitej utracie rozsądku politycznego - mam nadzieję, że obejmującej jedynie aparat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Sądzę, iż powinnością wszystkich autentycznych sił narodowych jest podejmowanie prób uświadomienia władzom PRL tego stanu rzeczy.

Jak wspomniałem, do napisania listu do Jego Ekscelencji skłonił mnie także mój stan zdrowia. Jestem bowiem chory na gruźlicę płuc. Od września ubiegłego roku do lutego bieżącego roku - przebywałem najpierw w Instytucie Gruźlicy w Warszawie, a następnie w specjalistycznym szpitalu w Otwocku, poddawany intensywnemu leczeniu. Obecnie przez około 8-12 miesięcy muszę brać duże dawki antybiotyków. Lekarz wypisujący mnie ze szpitala zalecił mi także wysokokaloryczne odżywianie, częste wyjazdy w góry, dużo powietrza i ruchu. Mój pobyt w areszcie śledczym znacznie utrudnia wykonanie tych zaleceń, a ponadto występuje u mnie znacznie silniejsze osłabienie po antybiotykach, niż następowało to w normalnych warunkach. Gruźlicą zaraziłem się w warunkach osłabienia organizmu i obawiam się, iż obecne, znacznie cięższe warunki - mogą spowodować nawrót nie w pełni jeszcze zaleczonej

choroby.

Do pełnego obrazu mojej sytuacji pragnąłbym jeszcze dodać, że mam 22 lata, oraz, że 26 grudnia ubiegłego roku połączyłem się sakramentem małżeństwa z Elżbietą Moskowicz-Moczulską.

Powyższy opis naszej sytuacji i położenia więźniów politycznych oraz mego stanu zdrowia polecam uwadze Jego Ekscelencji.

Wybierając Jego Ekscelencję jako adresata mego listu - kierowałem się oddaniem Jego Ekscelencji sprawie realizacji praw obywatelskich, szczególnie zainteresowaniem losom więźniów politycznych oraz uczestnictwem Jego Ekscelencji w Komisji Nieszananej Episkopatu Polskiego i Rządu.

Proszę o pomoc i modlitwę

z synowskim szacunkiem
i oddaniem

Krzysztof Kobi

Kokotów, 31 marca 1985 r.

Sz.P.P. Krzysztof Bobiński
korespondent "Financial
Times"
Michael Kaufman
korespondent "New York
Times"

Szanowni Panowie,

Dziennikarze i przedstawiciele demokratycznego świata w Polsce, na Wasze ręce, jako korespondentów wrażliwych na realizację praw obywatelskich, składam niniejszy list otwarty. Zwracam się do Was, jako uwięziony członek kierownictwa opozycyjnej partii politycznej - Komitetu Oporu Polski Niepodległej, jeden z wielu więźniów politycznych w moim kraju.

Widzę, gdy skomplikowana sytuacja polityczna na świecie i w Polsce wymaga do swego rozstrzygnięcia,

nikomu nie wolno być wobec niej obojętnym, a każda z autentycznych sił społecznych winna wziąć w tym procesie aktywny udział. Dlatego też, w swym liście skierowanym do Panów spróbuję przedstawić niektóre elementy mojego widzenia tych problemów.

Kwestia międzynarodowa. Związek Radziecki, wchodzący na drogę przemian strukturalnych, w najbliższym czasie sferować będzie prawdopodobnie do zniwelowania konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi, blokującymi dostawy niezbędnych materiałów i nowoczesnej technologii. Przed ZSRR stoi od dawna bowiem rozwiązanie następujących podstawowych problemów: demograficznego - zwłaszcza malejąc go przyrostu naturalnego Rosjan, w stosunku do gwałtownego przyrostu ludności azjatyckiej; energetycznego - zagrażającego katastrofą gospodarczą; oraz technologicznego - w której to dziedzinie ZSRR bez pomocy USA

może upaść do poziomu państw trzeciego świata. Przepaść pomiędzy supermocarstwami, w nowoczesnej technice, przede wszystkim komputerowej i kosmicznej, nigdy nie była tak wielka. Należy przypuszczać, iż Michaił Gorbaczow jest świadom tego, że "zimna wojna" przynosi niepowetowane straty jedynie jego państwu. Sądzić należy także, iż jasnym dla radzieckiego przywódcy stanie się niebawem, że zbliża się kres jałtańskiego podziału świata i wynikających z niego stref wpływów. Stale jątrząca sytuacja w Polsce staje się natomiast niepotrzebnym obciążeniem dla ZSRR, a nikt rozsądny nie będzie narażał Związku Radzieckiego na restrykcje, w przypadku dalszych siłowych zewnętrznych i wewnętrznych rozwiązań w Polsce.

Pewność ostatniej tezy umacnia konsekwentna i pełna rozsądku polityka Ronalda Reagana i innych szefów państw zachodnich. Nie będzie bowiem spokojnej i sprawiedliwej Europy bez Polski niepodległej i suwerennej.

Wszakże to, co jest oczywiste dla wolnego świata i opozycji politycznej w Polsce, a być może zacznie docierać do świadomości przywódcy ZSRR, jest nie do pojęcia dla komunistycznego rządu w Polsce.

Kwestia wewnętrzna. Kolejna już ekipa rządząca w Polsce nie zdoła zahamować wolnościowego narodowego parcia. Fiasko stanu wojennego, mającego uzdrowić gospodarkę i uspokoić nastroje społeczne, jest już dla wszystkich oczywiste. Z analiz dokonywanych przez Konfederację Polski Niepodległej wynika, iż zbliża się w Polsce kolejna eksplozja społeczna, mogąca nastąpić w ciągu kilku czy kilkunastu miesięcy.

Eksploracja ta winna doprowadzić do systemowych zmian w sposobie rządzenia krajem. Minimalnym jej efektem byłaby reaktywacja "Solidarności" i demokratyzacja stosunków społecznych, w korzystniejszym zaś przypadku - wprowadzenie pluralizmu politycznego. Możliwe jest nawet, iż zawarte zostanie taktyczne porozumienie, pozwalające obu stronom przygotować się do

decydującego starcia o niepodległą i suwerenną Polskę.

Podstępna taktyka rządu przy wprowadzaniu podwyżek cen i aresztowanie kilku przywódców opozycji świadczą o tym, iż władze zdają sobie sprawę z tego stanu rzeczy i obawiają się, że mitycznego "czwartego zakrętu PRL" nie zdołają pokonać. Zjawisko więźniów politycznych istnieje jednak tylko tam, gdzie niestabilna i oderwana od narodu władza stara się siłą i więzieniem zapewnić sobie przyszłość i odwrócić nadchodzącą falę eksplozji. Te oczekiwania są złudne. Raz rozbudzone wolnościowe dążenia narodu nie dają się łatwo odwrócić, a pogłębione represjami grożą eksplozją społeczną. Władze nadal wybierające drogę konfrontacji skazują siebie na zagładę, a naród na trudne do przewidzenia koszty niekontrolowanej eksplozji. Zaś wybierające drogę dialogu i ustępstw pod naciskiem narodu wpływają na łagodny przebieg rewolucji. Partia komunistyczna musi wybrać pomiędzy eksplozją miażdżącą ją, a drogą pozwalającą zachować resztki jej siły. Tertium non datur. Inna droga, nieuwzględniająca reaktywacji "Solidarności" demokratyzacji stosunków społecznych i wreszcie niepodległości Polski jest przy obecnym stanie świadomości narodowej i na dzisiejszym etapie rewolucji niemożliwa. Jedyną szansą PZPR jest uznanie zwycięstwa rewolucji niepodległościowej i przyjęcie walki politycznej na polu wolnych, demokratycznych i powszechnych wyborów, w których będą mogły wziąć udział wszystkie istniejące partie polityczne i stronnictwa. Oznaczałoby to wypełnienie, po 40 latach uchwał jałtańskich - a byłoby doniosłym aktem sprawiedliwości i pokoju międzynarodowego.

Więźniowie polityczni. Jest już ich w Polsce kilkadziesiąt, z czego dziewięć osób z kierownictw struktur "Solidarności" i opozycji: Władysław Frasyniuk, Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis, Adam Michnik, Leszek Moczulski, Andrzej Szomański, Adam Słomka, Dariusz Wójcik i niżej podpisany. Oskarżeni jesteśmy, między innymi, o burzenie spokoju

publicznego, próbę obalenia siłą ustroju i szkalowanie władz PRL. Są to zarzuty wbrew prawdzie i faktom, mające jedynie uzasadnić bezprawne represje. Silne przeciwdziałanie społeczne, międzynarodowy protest i rozgłos mogą zmusić władze PRL do rezygnacji z polityki przemocy.

Wielką i odpowiedzialną rolę mają w tej kwestii dziennikarze demokratycznego świata. We współczesnym świecie, prasa jest często kroć podstawowym elementem walki politycznej. Wierzę, że korespondenci prasy zachodniej w Polsce wypełnią, tak jak dotąd, swą zawodową

i obywatelską misję służby prawdzie i wolności.

Przesyłam wyrazy szacunku i uznania dla Panów i wszystkich korespondentów oraz dziennikarzy wolnego świata w Polsce

Z poważaniem

Krzysztof Król
członek Rady Politycznej Konfederacji
Polski Niepodległej

Warszawa, dn. 20.04.85
Areszt śledczy-Mokotów
ul. Rakowiecka 37 a

Warszawa, dnia 9 maja 1985

Do
Prokuratury Wojewódzkiej
w W a r s z a w i e

Zawiadomienie o przestępstwie

W imieniu własnym wnoszę o wszczęcie postępowania karnego przeciwko funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa, którzy w dniu 3 marca 1985 r. w Warszawie przy ul. Chmielnej 128 m. 20 przekroczyli zakres przysługujących im uprawnień przez dotkliwé pobicie mnie, aż do utraty przytomności.

Wnoszę również:

- a) o przesłuchanie w charakterze świadków:
 - Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego, Krzysztofa Króla, Adama Słonki, Dariusza Wójcika, Zygmunta Lenyka, Piotra Węgierskiego i Wojciecha Pęglę;
 - dr Sujkowską z Izby Przyjęć Szpitala MSW przy ul. Komarowa w Warszawie;
 - kpt. Michała Kotowskiego, który dowodził konwojem, który dostarczył mnie do szpitala;
- b) okazania mi oraz Leszkowi Moczulskiemu, Andrzejowi Szomańskiemu, Krzysztofowi Królowi,

Adamowi Słomce, Dariuszowi Wójcikowi, Wojciechowi Pęglowi, Piotrowi Węgierskiemu funkcjonariuszy, którzy brali udział w opisywanym niżej zdarzeniu, a dr Sujkowskiej funkcjonariusz, który mnie dusił, albowiem ja i ww. jesteśmy w stanie rozpoznać tych, którzy mnie bili i obrażali.

Uzasadnienie:

Dnia 9 marca 1985 r. przebywałem w mieszkaniu przy ulicy Chmielnej 128 m. 90 w Warszawie w towarzystwie Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego, Krzysztofa Króla, Adama Słonki, Dariusza Wójcika, Piotra Węgierskiego, Zygmunta Lenyka, Wojciecha Pęglę. Parę minut po godzinie 2 po południu grupa ponad 30 mężczyzn, rozbijając drzwi wejściowe wdarła się do mieszkania i weszła do pokoju, w którym przebywałem. Zachowanie tych osób wobec mnie było nieskrychane agresywne. Spytaliśmy ich kim są i czego chcą. W odpowiedzi pomachano mi czymś, o czym twierdzono, że jest legitymacją służbową. Zdołałem odczytać tylko nazwisko Dębiec. Odizolowano nas od siebie, zabroniono rozmawiać i poruszać się, grożono biciem. Gdy odchyliłem firankę i wyjrzałem przez okno na podwórze, zostałem pobity. Jeden z napastników schwył mnie dłonią za krtani i ścisnął, zgniósł mi ją. Inni rwali mi brodę i wasy, szarpali i popychali, przewrócili, a następnie kopali w splot słoneczny, brzuch i kręgo-

słup. Bijących było tylu, że tłoczyli się przy mnie i przeszkadzali sobie nawzajem. Ten, który mnie dusił nie zwolnił uścisku, aż straciłem przytomność. Gdy się ocknałem, siedziałem na podłodze oparty o ścianę i byłem skuty. Oczułem silny ból brzucha, głowy, szyi, pleców; mdłości, zaburzenia równowagi i widzenia. Czymś pomachano mi przed twarzą i o coś spytano, czego nie rozumiałem. Nie odpowiedziałem, bo było mi trudno mówić - w represji wyrwano mi kawałek wąsa.

Po przewiezieniu mnie do MSW zażądałem badania mnie przez lekarza. Badania dokonano w Izbie Przyjęć Szpitala MSW przy ul. Komarowa. Przeprowadziła je lekarz dyżurny Izby dr Sujkowska. Konwojem, który mnie zawiózł, dowodził kpt. Michał Kotowski. Cały czas byłem przykuty kajdanami do funkcjonariusza, który mnie dusił podczas bicia. Był on obecny w gabinecie podczas badania i jak mógł, starał się je zakłócić: komentował nieomalże każde spostrzeżenie lekarza, zarzucał mi symulację i złą wolę, bagatelizował wyniki badań, interpretując je na swój sposób, starał się umniejszyć swój udział w biciu i twierdził, że to co robił - "duszenie tętnicze" - jak je nazywał, jest czynnością rutynową w jego służbie. W w postępo-

wanie funkcjonariusza było jawnym mactwem, a jego zachowanie daje podstawy do powzięcia uzasadnionego podejrzenia, iż po przedstawieniu mu zarzutów będzie je kontynuował. Po zwolnieniu podjąłem leczenie i rehabilitację w Przychodni Przyklicznej Centralnej Kliniki Akademii Medycznej w Warszawie przy ul. Banacha.

Wobec tego, że użyto względem mnie niedopuszczalnej przemocy, polegającej na dotkliwym pobiciu mnie, niebezpiecznym dla mojego zdrowia i życia oraz poniżeniu mojej osoby, wnoszę o wszczęcie postępowania karnego i pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych.

Grzegorz Rossa

Do wiadomości:

1. Adresat
2. Przewodniczący Rady Politycznej Konfederacji Polski Niepodległej pan Leszek Moczulski
3. Prymasowski Komitet Pomocy
4. Komitet Przeciw Przemocy
5. Komisja Senacka UW Pomocy Społeczno - Prawnej
6. Zarząd Samorządu Studentów UW

Kromka chleba

"Chleb zachowany w komorze na jutro ma większe znaczenie, gdy dziś uratuje głodnego od śmierci"

/Kard. Stefan

Wyszynski

"Kromka chleba" s. 61/

Drogi w Chrystusie!

Evangelia św. Łukasza w rozdz. 4 ukazuje Jezusa przebywające-

go na pustyni w okresie przygotowania do działalności publicznej. I pisze ewangelista: "Nic w owe dni nie jadł, a po ich upływie poczuł głód" /Łk. 4, 2/ "Wówczas to zbliżył się doń szatan, podsunął mu pragnienie chleba - "Powiedz, aby te kamienie stały się chlebem." /Łk. 4, 3/

Odpowiedź Syna Bożego jest jednoznaczna: "nie będziesz kusił" Jezus panował nad głodem, nad potrzebą chleba.

Jezus jest prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem. Znał cierpienie głodu, znał wartość dla życia ludzkiego - kromki chleba.

Te dwa skromne słowa - kromka chleba, jakąż przeogromną wymowę mają w życiu każdego człowieka, one mogą zdecydować o jego żyć lub nie żyć. One mogą zdecydować o jego godności ludzkiej, one będą świadectwem jego Chrystusowej postawy - dzielenia chleba, one mogą być przyczyną zła, grzechu - one potrafią człowieka doprowadzić nawet do zbrodni.

Widziałem w latach młodzieńczych ludzi zabijanych głodem - 46 tys. jeńców radzieckich w obozie w Suwałkach - zamordowano śmiercią głodową. I najtragiczniejszym był fakt, że ci, którzy chociaż sami byli głodni, chętnie by podzielnili swoją kromkę chleba, by ratować życie ludzi bardziej od nich głodnych, ludzi konających na ich oczach z głodu. Nie wolno było - podanie kromki chleba przez druty równało się z wyrokiem śmierci. Nic więc dziwnego, że działy się tam dantejskie sceny - kanibalizm - zjadania trupów współtowarzyszy niedoli.

O wartość kromki chleba zapytajcie bracia tych, którzy przeszli gehennę więzień i obozów na wschodzie i na zachodzie. Zapytajcie tych, którzy byli głodni. Ten los zgotowali im ludzie - ci ludzie - nie tylko, że nie dali im chleba, ale jeszcze bronili, nie pozwolili dzielić go innym.

Ci ludzie to szatani naszych czasów spełniający tę samą rolę, którą chciał spełnić szatan wobec głodnego Chrystusa, przebywającego na pustyni.

Zajrzyjcie do wspomnień więźniów ogłoszonych drukiem, posłuchajcie tych, którzy wyszli z więzień, obozów i tylko ustnie wspominają tragedię głodu i kuszenie - kromką chleba.

Bo zaiste, czy to nie jest szatański pomysł, by w czasie przesłuchań zmuszać więźnia do nieprawdziwych zeznań, do przyz-

nanie się do niepopelnionej winy - ukazując głodnemu posiłek - chleb.

Bóg wie, ilu ludzi pozbawiono życia, ilu okaleczono, ilu straszliwie skrzywdzono - na skutek zeznań więźniów poddanych kuszeniu kromką chleba.

Bóg dał chleb do odżywiania - człowiek wykorzystuje ten fakt dla niecznych celów. Jezus znał ludzką przewrotność na skutek działania szatana i dlatego wśród prośb mołitwy łaskowej przekazanej dla całej rodziny ludzkiej, umieścił prośbę o chleb: "chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj", bo wiedział, że w ciągu dziejów ludzkości będą rzesze ludzi w tych narodach - łaknących chleba. Usuwa Jezus pokusę chleba uwodząc potrzebę chleba.

Potrzeba chleba istnieje w całym świecie. We wszystkich krajach świata są ludzie głodni, których największym pragnieniem jest kromka chleba. Nasze środki przekazu donoszą często o głodzie w krajach Ameryki Łac., Afryki czy Azji - uświadamiały sobie, że miliony ludzi w świecie głoduje i tęskni za chlebem - w świecie, tzn. i u nas też.

Ile dzieci na świecie pojdzie dzisiaj spać głodnych. Wyczerpane, wychudzone, wynędzniałe - może zasną ze znużenia i głodu.

Dlatego dzisiaj, w dzień w którym wspominamy ustanowienie przez Ciebie Chryste Eucharystii, tego nadprzyrodzonego chleba ustanowionego na umocnienie człowieka - kierujemy do Ciebie Zbawicielu świata prośbę serdeczną - o chleb dla wszystkich ludzi na ziemi. Przecież Ty, widząc na pustkowiu lud słuchający Twoich nauk, powiedziałeś, że on jest głodny.

Dwa razy podaje ewangelia, że Jezus nauczał, że człowiek żyje nie chlebem, tylko słowem, ty natomiast rzesze zebrane - słuchające nauk Jego, powiedziałeś: "Jezus: "Dajcie mi tego ludu, aby trzy dni trwały przy mnie, a nie będą co jeść, nie będą co pić".

puścić zgłodniałych, żeby kto nie zasiał w drodze". /Mt. 15, 32/ I w jednym i w drugim przypadku dokonuje cudu rozmnożenia chleba, a zdumionym Apostołom nakazuje - "wy dajcie im jeść" /Mt. 14, 16/

"Żal mi tego ludu" - woła Chrystus patrząc na świat w naszych czasach. Wyciągają się doń ręce ludzi i całych narodów z bolesną prośbą - o chleb powszedni. I oto ci, którzy rządzą, którzy kierują narodami winni się wsłuchać w głos Chrystusa, który do nich kieruje te serdeczne, pełne troski słowa: "żal mi tego ludu - wy dajcie im jeść".

Ale i szatan nie śpi - bo oto rządcy tych krajów zamiast zgłodniałym posłać chleb, posyłają broń, amunicję, rakiety, bomby, granaty, najrozszańsze energie niszczycielskie, które nie pożywiają, nie umacniają życia, ale je odbierają.

Od lat już Ojciec Chrześcijaństwa Jan Paweł II, w dniu 1 stycznia, rozpoczynając każdy nowy rok - modli się o pokój. Modli się o to, aby zamiast rakiet i pocisków głodni otrzymali chleb.

Od pewnego czasu jesteśmy wprost zahipnotyzowani przez środki przekazu wojną nuklearną. Mówi się o rozmieszczaniu rakiet nuklearnych na zachodzie, ukazują się bolesne protesty ludzi krajów zachodnich. Łączymy się z nimi całym sercem - nie chcemy rakiet skierowanych na nas - nie chcemy atomu, chcemy chleba i chcemy żyć w pokoju.

Ale ta prawda ma dwie twarze. Nie mówi się, że i w krajach Układu Warszawskiego rozstawia się śmiercionośne rakiety, wycelowane w innych ludzi. I w Czechosłowacji, i w NRD ludzie milujący pokój zaprotestowali przeciw rozstawianiu tych rakiet - i oni również boleśnie odpowiadać musieli za to, że chcą chleba i pokoju.

Dzisiaj, w tym dniu, który Kościół święci jako dzień ustanowienia chleba Eucharystycznego dla umocnienia dusz - módlmy się do Króla Wszechświata

by sprawił, aby świat nie posyłał rakiet i pocisków głodnym, ale, aby one przez ludzki rozsądek zmieniły się w chleb. Módlmy się, by Chrystus obudził sumienia narodów, aby przestały produkować broń i rakiety na iście Kainowe wyniszczenie ludzkości, ale, by w imię tego serdecznego nakazu Chrystusa - "wy dajcie im jeść" - kierujący światem dzielili chleb, posyłając go ludom głodnym.

Jeśli ci, w których rękach leży decyzja zlikwidowania rakiet - nie usłuchają tego bolesnego wołania Chrystusa "żal mi tego ludu", na naszych oczach spełni się proroctwo Jeremiasza proroka:

"Dlatego to mówi Jahwe: "oto sprowadzę na nich nieszczęście, którego nie będą mogli uniknąć, będą do mnie wołali, a ja ich nie usłucham" /Jer. 11, 11/

"Spojrzałem na ziemię, oto zupełny bezład, na niebo - nie ma jego światła. Spojrzałem w górę - oto drzę, wszystkie wzgórza się chwieją. Spojrzałem - oto nie ma ludzi i uciekły wszystkie ptaki przestworzy.

Spojrzałem - oto ziemia urodzajna stała się pustynią, wszystkie miasta uległy zniszczeniu! Oto obraz wojny atomowej, którą dano nam oglądać w swoim czasie w telewizji.

Proroctwo Jeremiasza proroka i wizja przedstawiona nam na szklanym ekranie budzi grozę i wzywa do ufnej, pełnej pokory modlitwy kierowanej do Jezusa: "Niechaj Twoja wola - prawem nam się stanie i niechaj granic od napaści strzeże, byśmy spokojnie trwać mogli o Panie, w zakonie Twoim w miłości i wierze. A kiedy wolni od napaści złego, będziemy pilnie przykazań Twoich strzegli, pozwól nam Boże z miłosierdzia Twego - byśmy ponęci kuszeni nie byli. I nic ponadto nam więcej nie trzeba, jak byś zarobić dał pracą mozolną na powszedniego czerstwy kawał chleba - byle niesiony do ust ręką wolną".

Kazanie wygłoszone na Boże Ciało 1984 roku w Sulejowie przez ks. J. Umińskiego.

Strategia zwycięstwa czy strategia kapitulacji?

Podajemy przedruk artykułu zamieszczonego
w "POLITYCE POLSKIEJ" nr IV/84

Przepraszamy za dokonanie przedruku bez
wiedzy autora i redakcji.

W lipcu 1974 roku na konferencji prasowej w Moskwie Henry Kissinger porwany jednym z zadanych mu pytań wybuchnął: "Czyżesz na miłość Boską jest przewaga strategiczna? Przy tej ilości broni, jakie jest jej polityczne, wojskowe i operacyjne znaczenie? Cóż z nią można zrobić?" Kilka lat później, gdy komisja Senatu USA zwróciła się do byłego sekretarza stanu z prośbą o przedstawienie jej opinii na temat rozważanego wówczas w Kongresie ratyfikowania układu SALT II, Kissinger wrócił do swojego moskiewskiego wystąpienia. Odzwierciedlało ono, tłumaczył się, "nie analizę, lecz irytację i zmęczenie". Następnie czołowy do tej pory architekt gmachu polityczno-wojskowego "odprężenia" dał się poznać jako bystry krytyk amerykańskiej filozofii strategicznej. Właśnie ona, twierdził Kissinger, zawiadnawszy umysłami amerykańskich negocjatorów porozumień SALT stała się główną przyczyną niekorzystnego dla USA wyniku rozmów. Rzecz jasna, ową krytykę kierował on pod adresem doktryny "wzajemnego gwarantowanego zni-

szczenia" /Mutual Assured Destruction, w skrócie MAD/, "filozofii" zbrojeń i rozbrojenia, która na początku 60-tych lat została zaakceptowana przez Stany Zjednoczone jako oficjalna kodyfikacja myśli strategicznej i która w zmodyfikowanej postaci pozostała nią do dzisiaj.

Za jej intelektualnych ojców uważa się przede wszystkim Bernarda Brodie, Thomasa Schellinga, Glena Snydera i Mortona Kaplana. W 1964 roku ukazała się pod redakcją B. Brodie książka zatytułowana "The Absolute Weapon" /Broń absolutna/. Grupa naukowców z Instytutu Spraw Międzynarodowych uniwersytetu Yale przedstawiła w niej główne zarysy przyszłej doktryny MAD. Fundamentem nowej teorii strategicznej była konstatacja całkowitego nowego, restrykcyjnego charakteru broni nuklearnej. Bomba atomowa, zdaniem uczonych z Yale, stworzyła zupełnie nowy rozdział w historii wojen i pokoju. Dlatego właśnie jest ona absolutną bronią. Na to pytanie, amerykańscy naukowcy odpowiadali pisząc, iż jej użycie spowodowałoby straszliwe i absolutnie "nie do zaakceptowania" przez żadne państwo zniszczenie, swymi rozmiarami przywołując m.

myśl chyba jedynie apokaliptyczny kataklizm w dniu gniewu Bożego nad światem. Niepodobna również przed nią znaleźć schronienia, nie sposób uniknąć jej śmiertelnośnego promieniowania ani ograniczyć wyrządzonych jej działaniem zniszczeń. Autorzy książki najwidoczniej mieli jeszcze żywo w pamięci niedawny nalot atomowy na Hiroszimę i Nagasaki. Światowa opinia publiczna, na której przecież doniesienia z wojennych frontów przestały już wówczas robić wrażenie, tym jednak wydarzeniem została głęboko wstrząśnięta. Zniszczenia japońskich miast, już same w sobie katastrofalne, zostały bowiem przez środki przekazu dodatkowo wyolbrzymione, mówiono i pisano o nich bez zwracania uwagi na rzeczywiste fakty, w tonie hysterii, którego dzisiaj klasycznym przypomnieniem jest twórczość Jonathana Shella. Wszystko to po to, by przestraszyć, wstrząsnąć i zmobilizować ludność przeciwko grożącemu jej atomowemu demonowi. Dlatego wolno nie pamiętać, iż liczba śmiertelnych ofiar, choć ogromna w Hiroszimie /72 tys./ była mniejsza niż w Tokio /84 tys./ i w Dreźnie /135 tys./. W obojgu tych ostatnich miastach ludzie ginęli od "tradycyjnych" nieatomowych bomb lotniczych. Uwadze dziennikarzy umknęło również to, iż pociągi w Hiroszimie kursowały normalnie 48 godzin po nalocie, przemysł praktycznie został niezniszczony, a tysiące ludzkich istnień można było ocalić, gdyby tylko w porę przedsięwzięto elementarne środki z zakresu obrony cywilnej.

Nic więc dziwnego, że w 1946 roku sądzono powszechnie, iż wojna atomowa byłaby równoznaczna z końcem świata i zagładą cywilizacji, a w związku z tym, nie liczone się na serio z jej wybuchem. Przeciwnie, wojna nuklearna, według panującej wówczas opinii, była czymś nie do pomyślenia. Musiało upłynąć jeszcze nieco czasu zanim Herman Kahn, jako jeden z pierwszych odważył się na "rys-

lenie o rzeczy nie do pomyślenia"/Thinking about the Unthinkable/. Natomiast autorzy "Broni absolutnej" przydzielili bombie atomowej wyłącznie jedną rolę do odegrania: odstraszanie wroga przed atakiem. Mechanizm wzajemnego odstraszania skonstruowany przez amerykańskich teoretyków zakłada bowiem, że supermocarstwa posiadają broń nuklearną wyłącznie po to, by mogły wzajemnie straszyć się perspektywą jej użycia, zaś wiążą implikowanych tą groźbą zniszczeń okaże się na tyle przerażająca, że nigdy nie dojdzie do jej faktycznej realizacji. W tym atomowym szantażu prowadzonym przez oba mocarstwa rolę zakładników przydzielono wielkim ośrodkom miejskim i przemysłowym na terytorium Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Ludność i przemysł wroga - oto cele na które nakierowane powinny być rakiety strategiczne obu atomowych państw. Ponieważ główną zasadą działania odstraszania jest jego wzajemność, przeto każda strona musi mieć gwarancję, że w przypadku nuklearnego ataku przeciwnika, zdoła zadać mu w odwecie identyczne straty. Stąd postulat niezniszczalności rakiet strategicznych, tzn. przetrwania pierwszego uderzenia wroga. Omawiany teoretyczny model odstraszania nuklearnego zawiera również inny zasadniczy postulat. Mianowicie, prócz gwarancji odwetu, każda ze stron musi mieć stuprocentową pewność jego powodzenia. Oznacza to, że wielkie miasta i przemysł, które, jak widać, pełnią rolę zastawu w nuklearnej grze supermocarstw - nie mogą w żaden sposób być bronicie przed atakiem nieprzyjaciela. Jednym słowem im bardziej jesteśmy odsłonięci na uderzenie wroga, tym bardziej jesteśmy bezbezpieczni, twierdzą Amerykanie. Bernard Brodie pisał w 1946 roku: "Jeżeli naród, który planuje atak musi obawiać się odwetu, to fakt, iż zdoła on zniszczyć miasta przeciwnika na kilka godzin czy nawet dni zanim

jego własne zostaną zburzone, przynosi mu niewielką pociechę. Do tej pory głównym zadaniem naszego wojska było wygrywanie wojen. Odtąd musi być nim ich unikanie. Na świecie powinien więc zapanować "technologiczny" pokój narzucony przez niezwykle "absolutny" charakter broni atomowej.

Wszystkie powojenne doktryny wojskowe Stanów Zjednoczonych powstały w okresie, gdy kraj ów miał niekwestionowaną przez nikogo przewagę strategiczną nad Związkiem Radzieckim. Zarówno trumanowskie "zmasowane uderzenie" /massive strike/, doktryna "zmasowanego odwetu" /massive retaliation/ przyjęta za prezydentury Eisenhowera jak również strategia "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia" milcząco lub wyraźnie uznały fakt istnienia tej przewagi, lecz od czasu zaakceptowania przez USA doktryny MAD, tj. od początku lat 60-tych, wiele się na świecie zmieniło. Przede wszystkim, Stany Zjednoczone przestały być powszechnie uznawane za najpotężniejsze państwo na kuli ziemskiej. Związek Radziecki na początku lat 70-tych zrównał się bowiem z USA pod względem sił strategicznych, a dekadę później osiągnął nad nimi przewagę. Wszelako zmiany zachodzące w nuklearnej równowadze nie miały istotniejszego wpływu na strategię wojskową deklarowaną przez Amerykanów.

Na Zachodzie nie brak więc jej krytyków. Do grona najbardziej inteligentnych należą bez wątpienia Herman Kahn, Albert Wohlstetter, Paul Nitze, Benjamin S. Lambeth i Colin S. Gray. Również Kissinger uważa teraz, że doktrynie MAD "brak jest wiarygodności", a dalsze trwanie przy niej "wcześniej czy później sparatyzuje /amerykańską/ strategię i politykę zagraniczną". Także prezydent Reagan w swojej polityce coraz dalej odchodzi od kanonu "gwarantowanego zniszczenia". Kontrowersje wokół amerykańskiej myśli strategicznej są częstym tematem rozwa-

żeń na łamach popularnych czasopism, natomiast bardziej specjalistycznym aspektem debaty poświęcają w całości miejsce fachowe periodyki. Wśród najpoważniejszych tytułów należy uznać "International Security", "Strategic Review", "Bulletin of the Atomic Scientists", "Survival" oraz "Comparative Strategy".

Fala krytyki kierowanej pod adresem doktryny MAD na swoje źródło w dwóch faktach bezpośrednio wynikających z istnienia radzieckiej przewagi strategicznej. Otóż, gdyby Rosjanie rozpoczęli wojnę ze Stanami Zjednoczonymi i jako pierwsi użyli w niej broni atomowej, to wówczas amerykańskie odwetowe siły strategiczne zostałyby najprawdopodobniej zniszczone. Jak wiadomo, postulat niezniszczalności tychże sił jest kluczową koncepcją, wokół której zbudowano teorię MAD. Tymczasem ich wyeliminowanie z wyniku radzieckiego ataku pozostawiłoby Stany Zjednoczone praktycznie bez możliwości rewanżu, bez środków koniecznych do zlikwidowania radzieckich miast. Drugi zarzut wysuwany przez oponentów "wzajemnego zniszczenia" dotyczy wiarygodności gwarancji, którym Amerykanie objęli swoich sojuszników w Europie Zachodniej i w Japonii. Wobec przewagi strategicznej, ochrona, jaką "parasol atomowy" trzymany przez prezydenta USA dawał do niedawna jego europejskim i japońskim przyjacielom staje się coraz bardziej problematyczna. Trudno przecież przypuszczać, by amerykański polityk wydał rozkaz zniszczenia Moskwy i Leningradu w odwecie za radziecki atak nuklearny na Bonn lub Tokio. Gdyby tak postąpił, wówczas los mieszkańców Nowego Jorku i Waszyngtonu byłby przesądzony. Amerykańskie zobowiązanie nuklearnym brakuje zatem wiarygodności.

W 1982 roku w Stanach Zjednoczonych okazała się cenną pracą, pisma Keitha F. Payne'a a pracującego w prestiżowym instytucie hudsonskim, która - jak

czytamy w przedmowie napisanej przez Colina S. Graya - "do tej pory jest najsurowszą i najprozleglejszą krytyką kierunku obranego w amerykańskiej myśli strategicznej". Payne podjął się wnikliwego zbadania doktryny "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia" pod kątem jej logicznej spójności. Na marginesie w swojej książce konsekwentnie posługuje się on inną nazwą, mianowicie "wzajemne gwarantowane nieosłanianie się przed atakiem", tj. Mutual Assured Vulnerability, co jego zdaniem sugeruje wprost, że w teorii odstraszania nie ma miejsca na strategiczną obronę. Książka amerykańskiego stratega - chociaż przeznaczona dla wąskiego kręgu ekspertów - jest lekturą niezbędną dla każdego, kto próbuje zrozumieć obecny etap przewlekłego konfliktu obydwu supermocarstw.

Każda doktryna wojskowa zasługująca na to miano - dowodzi Payne - musi koniecznie brać pod uwagę myśl strategiczną przeciwnika oraz charakter jego polityki zagranicznej /status quo lub rewizjonistyczny/. Wszelako obydwa tymi zagadnieniami teorii MAD nie zajmuje się zupełnie. Owo zaniedbanie - dołączone do poważnych błędów logicznych "gwarantowanego zniszczenia" - w stopniu wystarczającym dyskwalifikuje MAD jako strategię wojenną odpowiadającą potrzebom Stanów Zjednoczonych. Jedną, zasadniczą obawą przewija się przez wszystkie strony książki Paynea: jeżeli Ameryka nie odzyska utraconej przewagi strategicznej /co wiąże się z uprzednim zrezygnowaniem przez USA z trzymania się doktryny MAD/, to w latach 80-tych czeka je porażka w wojnie lub ostrym kryzysie ze Związkiem Radzieckim.

Warto chyba pokusić się o w miarę dokładne zrelacjonowanie głównych tez książki Payne'a w naszym dziwacznym wieku, bez ustanku wypełnionym zaciętką walką o pokój, jej walor edukacyjny jest wprost nieoceniony. Szczególnie dla nas, żyjących w kraju, w którego prasie codzien-

nej rekordowy budżet Pentagonu sąsiaduje z nową rozbrojeniową inicjatywą radzieckiego Politbiura.

1. AMERYKAŃSKI PRZEPIS NA GWARANTOWANE SAMOBÓJSTWO

W pracach czołowych teoretyków strategii MAD bez trudu można odnaleźć pięć konstytuujących ją założeń.

A oto one:

I. Decyzje o wadze istotnej dla każdego państwa /wojna, pokój/ podejmowane są przez jego kierownictwo zawsze na drodze racjonalnej kalkulacji przewidywanych zysków i strat. Gdyby radzieccy przywódcy ocenili, że zniszczenia, które ich kraj odniósłby w wyniku wojny nuklearnej przesłoniłyby swoimi rozmiarami spodziewane korzyści, to jest rzeczą nieprawdopodobną, iż rozpoczną wojnę atomową ze Stanami Zjednoczonymi.

II. Atomowe zniszczenie wielkich ośrodków miejskich i przemysłowych ZSRR stanowi dla Kremla stratę nie do zaakceptowania, stratę wobec której liczenie na jakiegokolwiek korzyści z rozpoczęcia wojny jest pozbawione sensu. Według Roberta McNamary, sekretarza obrony prezydenta Kennedyego, śmierć 20-25% ludności ZSRR i zniszczenie 50% przemysłowej bazy kraju w wyniku amerykańskiego odwetu kierownictwo radzieckie uważałoby za stratę nie do zaakceptowania.

III. Ze swej strony również Związek Radziecki jest zdania, że groźba odwetowego zniszczenia metropolii i przemysłu Stanów Zjednoczonych w wystarczającym stopniu powstrzymuje administrację tego państwa przed rozpoczęciem wojny atomowej. Obrona miast jest w ogóle niemożliwa ponieważ zarówno Rosjanie jak i Amerykanie zawsze będą dążyli do zagwarantowania sobie możliwości ich zniszczenia i w tym celu znajdują odpowiednie technologie broni ofen-

sywnych. A gdyby można było nawet przedsięwziąć środki ograniczające szkody, wyrządzone przez atak nuklearny /damage-limitation/ to i tak nie byłyby one w stanie poważnie zredukować strat. W opinii wysokiego urzędnika administracji Kennedy'ego i Johnsona "nie ma różnicy pomiędzy dziesięcioma a stu milionami ofiar". Bowiem obie liczby są nie do zaakceptowania przez żadne państwo.

IV. Nie jest możliwe ograniczone użycie broni atomowej. Niemożliwa jest ograniczona, lokalna wojna atomowa. Każdy, nawet najmniejszy konflikt nuklearny pomiędzy supermocarstwami jest nieuchronnie skazany na przekształcenie się w wojnę strategiczną poprzez proces eskalacji.

V. Prawdopodobieństwo eskalowania lokalnego konfliktu do poziomu strategicznej wojny supermocarstw jest równe jedności. W związku z tym, Związek Radziecki nie odważy się zaatakować bronią konwencjonalną lub atomową sojuszników Stanów Zjednoczonych /przede wszystkim Europę Zachodnią i Japonię/.

Cóż wynika z faktu przyjęcia powyższych założeń?

Otóż po pierwsze, gdyby wybuchła wojna nuklearna pomiędzy Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi, wówczas mówienie o strategii straciłoby wszelki sens. Obydwa atomowe państwa są w stanie nawzajem unicestwić sobie to, co mają najcenniejszego tzn. ludność skupioną w wielkich miastach oraz przemysł. Nie istnieje więc dla nich żaden cel polityczny, którego osiągnięcie usprawiedliwiałoby wspomniane straty. W świecie, który widział zburzenie Hiroszimy i Nagasaki przestała obowiązywać klasyczna formuła Clausewitza o wojnie jako polityce uprawianej innymi środkami. Nie można więc bezpośrednio w walce użyć broni termojądrowej. O jej przydatności stanowi wyłącznie "siła przestawowa, która pochodzi z jej niszczy-cielskich możliwości" /Schelling/.

Po drugie posiadanie przemo-gi strategicznej nad rywalami stało się zbędne. Na pytanie "How much is enough?" /Ile wystarczy?/ Alain Enthoven i Wayne S. Smith odpowiedzieli w swoim artykule, że każdemu supermocarstwu nienależy wystarczyć taki potencjał nuklearny, który daje gwarancję zburzenia miast przeciwnika. W takim razie, każda nadwyżka ponad to niezbędne minimum /overkill/ jest zwykłym marnotrawieniem pieniędzy podatników, ponieważ jej utrzymanie nie przynosi żadnych korzyści politycznych.

Reszcie wniosek trzeci. Według teorii MAD, Związek Radziecki nigdy nie pozwoli sobie na prowokacyjne zachowanie się wobec sojuszników USA i nie będzie zainteresowany wzniecaniem lokalnych napięć. Będzie się bowiem obawiał ryzyka eskalacji nawet najmniejszego konfliktu do poziomu wojny strategicznej. W praktyce oznacza to, że amerykańskie oddziały wojskowe rozmieszczone w lokalnych teatrach działań nie są przeznaczone do pełnienia tak poważnych funkcji obronnych, raczej spełniają one rolę "tripwire" tj. dosłownie: sznura - pułapki, którego potrącenie powoduje automatyczne otwarcie ognia, a w tym przypadku automatyczną interwencję nuklearną Stanów Zjednoczonych. Właśnie na tej zasadzie działa mechanizm "przedłużonego odstraszania" /extended deterrence/: strategiczny potencjał atomowy USA jest bezpośrednio "związany" z amerykańskimi siłami, które zaangażowane są w regionalnych teatrach działań.

Z doktryną MAD nierozdzielnie związane jest również pojęcie "crisis instability" /niestabilność kryzysu/. Jej zwolennicy utrzymują, że mechanizm wzajemnego odstraszania psują Amerykanie, którzy starają się uzyskać możliwość zniszczenia zarówno ofensywnych sił przeciwnika jak również jego polityczno-wojskowej struktury dowodzenia /counterforce/. Oprócz tego - brzmienie zarzut - Amerykanie podejmują wysiłki, których celem jest

ksymalne zredukowanie własnych strat w przypadku radzieckiego ataku jądrowego /damage-limitation/Gdyby więc Stany Zjednoczone zaatakowały Związek Radziecki, to Rosjanie nie mieliby żadnych gwarancji odwetu i zniszczenia amerykańskich metropolii. Bowiem amerykańskie programy zbrojeniowe "counterforce" i defensywne "damage-limitation" są śmiertelnym zagrożeniem nie tylko dla radzieckich miast i ośrodków p. zemysłu, lecz przede wszystkim dla radzieckich sił atomowych. Wobec powyższego, w czasie poważnego kryzysu w stosunkach Wschód-Zachód, Kreml stanąłby wobec silnej pokusy zadania uderzenia atomowego, które uprzędziłoby amerykański atak /pre-emptive strike/. Czyli radzieckie kierownictwo miało by bowiem czekać z założonymi rękami na niechybną katastrofę? Z kolei prezydent USA, znając obawę Kremla, sam usiłowałby wyprzedzić radziecki atak, nawet gdyby wcześniej nie zamierzał użyć jako pierwszy broni atomowej. "Crisis stability"

połoga więc na wzajemnym podejrzewaniu się obydwu antagonistów o zamiar prewencyjnego uderzenia. W opisanych wyżej warunkach istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten zamiar zostałby zrealizowany przez którąkolwiek ze stron konfliktu, nawet wbrew jej pierwotnym intencjom. Zdaniem twórców MAD, odwetowe siły strategiczne skonstruowane i zabezpieczone w taki sposób, by mogły przetrwać nuklearny atak przeciwnika, a następnie zburzyć jego bezbronne miasta, zmniejszają do minimum ryzyko kryzysowej niestabilności.

Teoria MAD ma również swój własny model wyścigu zbrojeń. Zakłada on, iż nowe amerykańskie technologie, opracowywane z myślą o ograniczeniu przy ich pomocy skutków nuklearnego ataku, zmuszają Rosjan do ciągłego udoskonalania broni ofensywnych po to, by pomimo coraz lepszej defensywy przeciwnika zachowały one zdolność zlikwidowania wielkich miast i przemysłu Stanów

Zjednoczonych. Wyścig zbrojeń jest zatem procesem działającym na zasadzie akcji i reakcji. Stąd postulat zatrzymania go poprzez usunięcie jego siły napędowej, tzn. amerykańskich przygotowań obronnych.

Podsumowując to co do tej pory powiedziano, amerykańskie próby ograniczenia zniszczeń /obrona cywilna i przeciwlotnicza, systemy broni przeciwrakietowej BMD i przeznaczonych do zwalczania okrętów podwodnych ASW/ oraz uzyskania nowych sił ofensywnych - w świetle doktryny MAD - nie tylko zwiększają prawdopodobieństwo wybuchu wojny atomowej, lecz również podsycają wyścig zbrojeń.

Zadziwiająca logika tej zdumiewającej doktryny nie wymaga również od Stanów Zjednoczonych, by posiadały armię zdolną do nawiązania równorzędnej walki z wojskami radzieckimi. Harold Brown sekretarz obrony Cartera, był na przykład przekonany, że USA nie musi "dorównywać Związkowi Radzieckiemu pod względem ilości batalionów" po to, by zabezpieczyć w rejonie Zatok Perskiej swoje interesy. Jak długo bowiem Amerykanie dysponują siłami nuklearnymi odpowiednimi do unicestwienia mieszkańców wielkich radzieckich miast oraz lokalnymi wojskami, które spełniają rolę systemu alarmowego, tak długo wszelkie porównywanie arsenałów jądrowych obu supermocarstw są pozbawione sensu.

Aż do 1974 roku opisane powyżej "wzajemne gwarantowane zniszczenie" było doktryną obowiązującą w siłach zbrojnych USA. Zastąpiło ją "elastyczne reagowanie" /Flexible Response/, znodyfikowana wersja doktryny MAD, opracowana teoretycznie w 60-tych latach, a w 1974 roku przemianowana, od nazwiska ówczesnego sekretarza obrony, na doktrynę Schlesingera.

Schlesinger doszedł do wniosku, że amerykańskie odstraszenie nuklearne przestało być wiarygodne z chwilą osiągnięcia przez Rosjan możliwości kontrodwetowych.

Scenariusz MAD przewiduje bowiem, iż w przypadku radzieckiej prowokacji lub ograniczonego użycia przez ZSRR broni atomowej, prezydent USA wyda rozkaz zniszczenia radzieckich miast. Schlesinger uznał takie rozumowanie za absurdalne. Wielkie mocarstwa na ogół nie popełniają samobójstwa z powodu swoich sojuszników, i łobnie, żaden amerykański prezydent nie zgodzi się na uśmiercenie kilkudziesięciu milionów swoich rodaków po to, by ukarać Związek Radziecki za zniszczenie np. wyrzutni raketowej położonej z dala od skupisk ludzkich. Będzie bowiem obawiał się, że amerykański zmasowany odwet nuklearny ściągnie na metropolie Stanów Zjednoczonych morderczy kontroldwet radziecki. Groźba użycia broni atomowej pozbawiona znamion wiarygodności prowadzi zatem w napiętej, kryzysowej sytuacji do jej faktycznego porzucenia. Mechanizm odstraszania wroga ustępuje wówczas miejsca mechanizmowi "samoodstraszania" /self-deterrence/, którego motorem jest lęk nie pozwalający podjąć decyzji, która w swych konsekwencjach byłaby samobójcza.

Załóżmy na moment, że Rosjanie zaatakowali naftowe państwa leżące w rejonie Zatoki Perskiej i w czasie walki użyli taktycznej broni nuklearnej. Doktryna MAD zakłada, że w takiej sytuacji Amerykanie natychmiast sięgną do swojego strategicznego arsenału. Natomiast zwolennicy jej zmodyfikowanej, "elastycznej" wersji twierdzą, że w owej pierwszej fazie konfliktu, obie jego strony rają wciąż jeszcze wzajemnie dużo do stracenia. Miasta i przemysł są przecież nie zniszczone. Tymczasem, gdyby Amerykanie natychmiast po radzieckiej lokalnej i ograniczonej akcji wysłali w kierunku ZSRR swoje pociski, wówczas nic już nie mogłoby powstrzymać Kremla od postąpienia w identyczny sposób i wystrzelenia rakiet strategicznych w kierunku Waszyngtonu. My jesteśmy zgubieni, ale wy zgi-

niecie razem z nami. biorąc powyższe pod uwagę, Schlesinger zaproponował, aby Stany Zjednoczone przyjęły szeroki wachlarz elastycznych opcji i celów uderzeniowych, zatem plan, który by pozwolił im odpowiedzieć na ograniczone uderzenie radzieckie odpowiednio ograniczonym kontruderzeniem, a równocześnie zachować w rezerwie, jako środek ostateczny, groźbę totalnego zniszczenia ZSRR. "Elastyczne reagowanie" Jamesa Schlesingera miało więc rozwiązać dylemat "self-deterrence". Amerykańską odpowiedzią na radzieckie prowokacje miało być użycie broni atomowej ograniczone a nie strategiczne, oraz demonstracyjne a nie odwetowe, sygnalizujące Rosjanom determinację USA zastosowania całego potencjału nuklearnego w następnej fazie wojny.

Doktryna "elastycznej odpowiedzi" nie różni się jednak w istocie od swojego pierwowzoru, tj. doktryny MAD. Nadal bowiem postuluje ona zrezygnowanie z obrony wielkich miast oraz przemyślną przed atakiem wroga, w związku z czym dokładnie powtarza kanon "gwarantowanego zniszczenia". Natomiast w odróżnieniu od MAD, która w wielkomiejskich i wielkoprzemysłowych centrach ZSRR upatruje cele dla amerykańskich rakiet strategicznych, doktryna Schlesingera zaleca ponadto niszczenie radzieckich obiektów wojskowych.

Znacznie dalej pod tym względem idzie kolejna modyfikacja "gwarantowanego zniszczenia", czyli Dyrektywa Prezydenta numer 59 /PD-59/. W myśl jej zaleceń, zadaniem amerykańskiego uderzenia odwetowego jest zlikwidowanie oprócz kluczowych instalacji wojskowych ZSRR również ośrodków polityczno-wojskowego zarządzania krajem. Nowa strategia nuklearna prezydenta Cartera była więc dużym krokiem posuwającym naprzód myśl wojskową Stanów Zjednoczonych. Zatrzymała się jednakże w połowie drogi. Albowiem postulując niszczenie wojskowych,

politycznych i administracyjnych ośrodków istotnych dla przetrwania i powojennej odbudowy ZSRR, nie pozwalała ona Rosjanom liczyć na zwycięstwo w wojnie strategicznej z USA /victory-denial/. To z kolei sugerowałoby, że sami Amerykanie pragną nie tylko przetrwać wojnę atomową, lecz ponadto osiągnąć w niej konkretny cel polityczny. Lecz w związku z tym strategiczna obrona przed nuklearnym atakiem przeciwnika stawała się rzeczą niezbędną. Wszakże prezydencka dyrektywa słowem nie wspomniała o jej konieczności.

2. MAD - PO ZNACZY SZAKIENSTWO!!!

W minionym dwudziestolecu zasadnicze kierunki amerykańskiej polityki zbrojeniowej oraz stanowisko wobec kontroli zbrojeń zajmowane w tym okresie czasu przez USA wywodziły się w prostej linii z teorii "gwarantowanego zniszczenia". W jaki bowiem sposób Amerykanie zbudowali swój arsenał strategiczny? Jego podstawą są międzykontynentalne rakiety balistyczne /intercontinental ballistic missile, ICBM/ popularnie nazywane Linuteman. Pełnią one rolę instrumentu atomowego szantażu wyznaczoną im przez teoretyków "gwarantowanego zniszczenia". Albowiem, gdyby te pociski zostały kiedyś użyte, spowodowałyby na radzieckie miasta masową śmierć i katastrofalne zniszczenie. W 1964 roku Waszyngton podjął decyzję, której nie sposób zrozumieć bez znajomości doktryny MAD. Cóż Amerykanie, którzy w tym okresie posiadali 1000 wyrzutni międzykontynentalnych rakiet ICBM, oświadczyli, że rezygnują z budowania dalszych. W praktyce oznaczało to, że Biały Dom świadomie pozwolił dogonić się Związkowi Radzieckiemu, i ten wykorzystując to w ciągu kilku następnych lat osiągnął strategiczną równowagę ze Stanami Zjednoczonymi. Owa nieprawdopodobna decyzja podjęta w Waszyngtonie staje się na

zrozumiała, jeżeli tylko weźmie się pod uwagę, iż naczelną zasadą, na której oparte jest działanie mechanizmu odstraszania jest gwarancja wzajemności. Tylko obustronny szantaż atomowy gwarantuje stabilne stosunki pomiędzy obu supermocarstwami.

Identycznie rozumując, większość kongresmenów konsekwentnie sprzeciwiała się w latach 1969-74 przyznaniu funduszy niezbędnych do budowy nowej generacji, bardziej precyzyjnych ICBM-ów, odpowiednich do niszczenia radzieckich wyrzutni rakietowych. Uznali oni, że nowe amerykańskie rakiety byłyby bronią "destabilizującą" równowagę strategiczną, ponieważ ich istnienie pozbawiłoby Rosjan gwarancji usmiercania milionów obywateli Stanów Zjednoczonych. Jest rzeczą interesującą, że w tym samym czasie ci sami kongresmeni całkowitym milczeniem pominęli "destabilizującą" broń radziecką /np. rakiety SS-9 i SS-19/, co ważniejsze, faktycznie znajdującą się w strategicznym arsenale ZSRR, a nie jak w przypadku projektowanych ICBM-ów na papierze.

Kolejnym obiektem ataku zwolenników MAD stały się rakiety strategiczne wyposażone w system MIRV. Są to pociski, które mają kilka lub kilkanaście głowic. W czasie lotu głowice rozdzielają się i dalej samodzielnie naprowadzają się na cele /Multiple Independently targetable Reentry Vehicle/. Przeciwnicy MIRV-ów usiłowali dowieść, że nowe rakiety zagrażają pokojowi opartemu na równowadze strachu. W tym celu ukuli oni zarzut, iż wprowadzenie do uzbrojenia Stanów Zjednoczonych pocisków wielogłowicowych jest częścią amerykańskiego planu zniszczenia w przyszłości radzieckich wyrzutni strategicznych. Amerykanie mogliby bowiem całkowicie zlikwidować potencjał strategiczny ZSRR, używając w tym celu jedynie części swoich wielogłowicowych sił strategicznych. W takim przypadku Związek Radziecki zostałby zupełnie rozbrojony, natomiast Stany Zjednoczone zachowałyby w dalszym ciągu znaczną ilość ra-

kiet. Nie trzeba chyba dowodzić, że perspektywa tak rażącej dysproporcji sił musiała przerażać gorliwych czcicieli doktryny "wzajemnego samobójstwa". Szkoda również czasu na zastanawianie się, czy wytrącenie Kremlowi z ręki atomowej karty i związana z tym nuklearna dominacja Stanów Zjednoczonych nie wyszłyby światu na dobre. Trzeba natomiast wiedzieć, że Amerykanie wyposażając swoje ICBM-y w system MIRV nie myśleli o osiągnięciu przewagi strategicznej nad ZSRR. Chodziło im wyłącznie o to, by bez zwiększenia ilości rakiet stworzyć zagrożenie dla wielokrotnionej liczby obiektów na terytorium radzieckim.

Jak wiadomo, według teorii odstraszenia "gwarantowanym zniszczeniem" najlepszą obroną jest jej całkowity brak. Trudno się zatem dziwić, że kolejni prezydenci USA bez wahania wykreślali z budżetu takie pozycje jak obrona cywilna i przeciwlotnicza oraz rezygnowali lub poważnie ograniczali fundusze na rozwój technologii, które w przyszłości umożliwiłyby obronę przeciwrakietową. Dzisiaj amerykańska obrona przeciwlotnicza jest w stanie wypełnić stojące przed nią zadania jedynie w czasie pokoju. W 1966 roku Stany Zjednoczone miały jeszcze 1200 myśliwców przechwytyjących, do tej pory zostało zaledwie 312. Ostatnie 135 baterii przeciwlotniczych rozmontowano w 1975 roku. William Perry, wysoki urzędnik administracji Cartera, autorytatywnie stwierdził, że "USA zasadniczo zlikwidowały swoją strategiczną obronę przeciwlotniczą."

Lecz w Ameryce nie tylko obronę przed radzieckimi bombowcami uważa się za zbędną i szkodliwą. Amerykańscy strategowie zwalczali z wielką zaciekleścią również plany ochrony przed radzieckimi atakami wielkich metropolii oraz strategicznych wyrzutni rakietowych. lata 1969-1972 były wszakże w Stanach Zjednoczonych czasem publicznej debaty nad rozwojem systemów defensywy przeciwrakietowej BMD /ballistic missile defense/. Głos zabierali wybitni naukowcy oraz spora i wpływowa

grupa byłych pracowników departamentu obrony. Ich wypowiedzi niemal bez wyjątku zawierały surową krytykę projektowanych systemów. Kampanie przeciwko BMD prowadziły na swych łamach pisma "Scientific American" oraz "Bulletin of the Atomic Scientists". Jednakże dopiero głośny organizacji religijnych oraz stowarzyszeń kościelnych, gwałtownie protestujące przeciwko planom obrony Ameryki przed radzieckimi rakietami, nadały debacie nie tyle pikanterii, co poznaku owolowiskiej niesamowitości.

Konkludując, amerykański wyścig zbrojeniowy od czasu przyjęcia przez USA doktryny MAD był prowadzony na ogół w myśl jej postulatów. John F. Kennedy ujął kiedyś owe zalecenia w zwięzłej formule: "Obrona jest atakiem, atak jest obroną". Zabijani ludzie jest dobre, celowanie w rakiety jest złe. Z kolei Donald Brennan zauważył ironicznie, że najwłaściwszym określeniem amerykańskiej doktryny jest skrót jej nazwy MAD, w języku angielskim oznaczający szaleństwo. Stany Zjednoczone pozbyły się więc skutecznej obrony przeciwlotniczej, nie mają obrony cywilnej, a w pewnym okresie czasu zrezygnowały z prowadzenia prac nad systemem defensywy przeciwrakietowej. Natomiast trzonem amerykańskiego arsenału jądrowego są rakiety oraz bomby, które nadają się wyłącznie do niszczenia wielkich miast i przemysłowego zaplecza Związku Radzieckiego.

3. ANTY-LOGIKA ANTY-STRATEGII

Keith Payne napisał o swojej książce, że jest ona przede wszystkim studium logiki amerykańskiej myśli strategicznej. Jego praca zawiera rzeczwiście gruntowną analizę podstawowych aksjomatów, które składają się na teoretyczny model "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia". Payne wykazał, że owe pewniki obarczone są poważnymi błędami logicznymi. Nie sposób więc ukryć podczas lektury rosnącego zdumienia, iż z teorii zbudowanej na tak kru-

chych fundamentach wywodzi się oficjalnie deklarowana przez USA doktryna atomowa.

Mając Keitha Payne'a za przewodnika, wrócić wpierw wypada nasze krytyczne spojrzenie na pierwszy aksjomat teorii MAD. Podaje on, że jak wiadomo wszelkie istotne dla każdego państwa decyzje jego przywódcy podejmują w drodze racjonalnej rachuby strat i zysków. Oczywiście, od razu można postawić zarzut, iż to, co jedni mają za korzyść, drugim przedstawia się jako strata; mówiąc najogólniej, istnieje mnogość racjonalnych kryteriów, według których poszczególni przywódcy państwowi zestawiają stosowne bilanse zysków i strat. Ten argument na ogół spotyka się ze zrozumieniem u zwolenników MAD. Natomiast nie mogą oni przyjąć do wiadomości, że decyzje o wojnie i pokoju wcale nie muszą być efektem aptekarskich wyliczeń. Gdyby bowiem zgodzić się z nimi, to należałoby uznać, że nagle w erze nuklearnej historię zaczął determinować liczbowy wynik ścisłych, matematycznych kalkulacji. Tymczasem z dziejów nie można wyeliminować czynnika przypadku, drogo również kosztuje ignorowanie nieskończonej różnorodności tworzących je zdarzeń jednostkowych i społecznych procesów, często zresztą w ogóle nie poddających się ludzkiemu zrozumieniu.

Nie jest na przykład wykluczone, że wojnę nuklearną rozpocznie reżim, który poza nią nie widzi żadnego innego wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazł. Wojna wówczas będzie dla niego opcją najlepszą z najgorszych. Łatwo można sobie wyobrazić, że przywódcy ZSRR, gdyby znaleźli się w obliczu rychłej i nieuchronnie nadciągającej zagłady państwa radzieckiego /mniejś na razie o to z jakich powodów/, a mieli choć cień szansy na pokonanie w wojnie atomowej USA lub tylko na przetrwanie amerykańskiego uderzenia atomowego, to z pewnością woleliby walczyć, niż cze-

kać na swój pewny koniec. Historia zna takie przypadki. Japończycy, gdy rozpoczynali wojnę na Pacyfiku nie mieli złudzeń, że pokonają Stany Zjednoczone. "Japonia weszła w wojnę - pisał członek rodziny carskiej - z tragiczną determinacją i w rozpaczliwym zrezygnowaniu. Jeżeli ją przegra nie będzie czego żałować, ponieważ i bez wojny jest skazana na zagładę."

Obrońcom teorii MAD nie trafia do przekonania powyższa argumentacja. Twierdzą oni mianowicie, iż radziecki reżim nie zaryzykuje swojego istnienia stawiając wszystko na kartę, o której szansach wygrania nic nie wie. Nikt przecież nie jest w stanie przewidzieć przebiegu wojny atomowej, spowija go bowiem gęsta mgła niepewności. Ilekroć pojawia się "mgła niepewności" - odpowiadają krytycy doktryny - może dla Rosjan, którzy stanęliby wobec upadku swojego imperium, stać się jedyną iskierką nadziei na to, że przetrwają wojnę nuklearną, a może nawet odnieść w niej zwycięstwo. Wszakże niepewność oznacza, że radzieckie plany mogą powieść się niespodziewanie dobrze, lepiej aniżeli pozwalają na to liczyć racjonalne przewidywania radzieckich sztabowców. Zaś czerwona armia spisze się na polu walki lepiej, niż kalkulowali radzieccy generałowie, gorzej natomiast powiedzie się Amerykanom.

Zwięźle podsumowując: teoretyczny model MAD w ogóle nie uwzględnia tego, iż wojna atomowa, dla reżymu, który ma ograniczone pole manewru, lub który przeczuwa własny koniec, może być jedyną formą desperackiej ucieczki od skomplikowanych problemów lub przed nieuchronnym losem.

Drugi z kolei aksjomat teorii MAD nadaje groźbie zniszczenia miejskich i przemysłowych ośrodków wroga rangę fundamentalnej zasady, na której jest oparte działanie mechanizmu odstraszania. Z rzeczywistością ma on wszelako niewiele wspólnego, więcej natomiast mówi o intelek-

tualnej wygodzie jego twórców i ekonomicznych kalkulacjach warszingtonskich administracji. Miasta są bowiem duże, stosunkowo trudne do obrony i łatwe do zidentyfikowania. W przeciwieństwie więc do wojskowych obiektów, na ogół dobrze ukrytych i zabezpieczonych specjalną konstrukcją przed atomowym atakiem, rozległe miasta są łatwym celem dla prostych, technologicznie nie skomplikowanych, a w związku z tym niezbyt drogich rakiet. Sama zaś idea użycia szantażu wobec wielkich skupisk ludzkich nie jest wcale nowa. Swoją początek bierze ona z brytyjskich teorii militarnych z okresu międzywojennego. Kierując się nimi, Anglicy w czasie drugiej wojny światowej prowadzili masowe bombardowania niemieckich miast. /Pod tym względem Rosjanie wyraźnie różnili się od swych chwilowych sojuszników: nigdy bowiem nie podejmowali na większą skalę nalotów lotniczych na miasta/.

Jeśli zaś chodzi o wspomniane leninstwo intelektualne amerykańskich strategów, to w tym przypadku jego przejawem jest mechaniczne przypisanie radzieckiej elicie władzy hierarchii wartości, która znajduje uznanie u zachodnich polityków. Tego rodzaju praktyka nazywa się inaczej błędem symetrii. Można niewątpliwie być spokojnym o to, że koszmarna wizja "gwarantowanych zniszczeń" mocno przemawia do wyobraźni przywódców demokratycznego Zachodu. Chyba jednak nie robi takiego samego wrażenia na kierownictwie radzieckim, które obywatele ZSRR traktuje całkowicie instrumentalnie. Uważając, by nie popaść w przesadę, ostrożnie założymy, iż radzieccy przywódcy w tym samym stopniu cenią wojskową siłę kraju i trwałość swojej władzy, co życie mieszkańców Związku Radzieckiego. Nas o tym nikt nie musi przekonywać, na Zachodzie wyczerpująco pisali na ten temat m.in. Adam Ulam, Robert Conquest i hr. Nikołaj Tołstoj. W dwóch wojnach światowych, w wojnie domowej, w łagrach i z głodu zginęło w Rosji od 1914 roku łącznie około 60 milionów ludzi.

Dla Związku Radzieckiego "straty nie do przyjęcia" /unacceptable damage/ muszą zatem z konieczności znaczyć coś innego niż dla kraju, który w swojej historii nigdy nie znał ani głodu, ani terroru i który we wszystkich wojnach od 1775 roku stracił 650 tysięcy swoich obywateli. To znaczy mniej niż zginęło Rosjan podczas oblężenia Leningradu. Richard Pipes w głośnym i kontrowersyjnie przyjętym artykule "Dlaczego Związek Radziecki sądzi, że mógłby wygrać wojnę nuklearną?" zajął się m.in. oszacowaniem potencjalnych zniszczeń, które amerykańskie i radzieckie miasta doznałyby na skutek jądrowego uderzenia. Otóż, według spisu ludności przeprowadzonego w 1970 roku, ZSRR miał w tym czasie 9 miast, których liczba mieszkańców przekraczała milion. Łącznie żyło w nich 20,5 milionów ludzi, tzn. 8,5 % ogółu ludności. Podobny spis przeprowadzony w tym samym 1970 roku w USA wykazał, że w 35 wielkich ponadmilionowych metropoliach mieszkało 84,5 milionów Amerykanów, tzn. 41,5% ogółu obywateli kraju. Jeden rzut oka wystarczy, by zorientować się, co oznaczają powyższe liczby. W czasie drugiej wojny światowej zginęło około 20 milionów mieszkańców Związku Radzieckiego, czyli 12% całej jego ludności. Pomimo tego, ZSRR przetrwał wojnę i wyszedł z niej silniejszy pod względem politycznym i wojskowym. Analogicznie, dzisiaj Związek Radziecki mógłby stracić nawet 30 milionów swoich obywateli, wszystkie jego największe miasta mogłyby zostać zamienione w ruinę tak, by żaden ich mieszkaniec nie uszedł z życiem, a mimo tego ów kraj przetrwałby wojnę atomową i jego straty byłyby mniejsze od tych, które doznał w ostatniej wojnie światowej.

Kolejny, trzeci już pewnik teorii MAD może doskonale służyć za klasyczny przykład wspomnianego wcześniej błędu symetrii. Albowiem amerykańscy strategowie są święcie przekonani, iż skoro ich kraj, traktując mieszkańców radzieckich miast jako zakład-

ników, trzyma w szachu Związek Radziecki, to również Rosjanom musi odpowiadać rola terrorysty z atomowym pistoletem w ręce, trzymającego na muszce obywateli Stanów Zjednoczonych. Ci stratedzy zapewniają, że w interesie ZSRR leży nie unicestwienie Zachodu, lecz jego zdominowanie.

Oczywiście bezpośrednią konsekwencją popełnionego błędu symetrii jest fałszywy model wyścigu zbrojeń. Bowiem to nie amerykańskie przygotowania defensywne są motorem rozwoju nowych radzieckich technologii ofensywnych, i nie one stanowią bodziec, który spowodował "reakcję" Związku Radzieckiego w postaci jego bezprecedensowych zbrojeń rozpoczętych na początku lat 70-tych. Nie można zrozumieć polityki zbrojeniowej ZSRR posługując się w tym celu nieskomplikowaną formułą: "amerykańska akcja - radziecka reakcja". Na przykład system przeciw-rakietowy BMD, który jest typowym programem "damage-limitation"; do tej pory pozostaje w sferze planów Waszyngtonu. Tymczasem Związek Radziecki w ciągu ostatnich dekad wprowadził do swojego arsenału taką broń ofensywną, która byłaby mu potrzebna wyłącznie wtedy, gdyby faktycznie istniała amerykańska obrona BMD. lecz nawet gdyby model "akcja - reakcja" adekwatnie opisywał przebieg wyścigu zbrojeń, to i tak dalej nie wiadomo, dlaczego Rosjanom zawsze udawałoby się znajdować panaceum na pokonanie amerykańskiej defensywy.

Zwolennicy "gwarantowanych zniszczeń" upierają się, iż obrona strategiczna oprócz tego, że jest szkodliwa dla sprawnego funkcjonowania mechanizmu odstraszania, nie jest również w stanie poważnie ograniczyć liczby ofiar ataku nuklearnego. Ten upór staje się jednak coraz bardziej jałowy. Firma Boeing przeprowadziła bowiem badania, które wykazały, iż środki defensywne możliwe do zastosowania już teraz, zmniejszyłyby ilość zabitych Amerykanów o 70%. Natomiast prowadzone w Związku Radzieckim ocaliłyby życie 96,3% ludzi, znaj-

dujących się w zasięgu nuklearnego uderzenia.

Ostatnio coraz więcej amerykańskich senatorów i innych zachodnich polityków opowiada się za zamrożeniem arsenałów nuklearnych na ich obecnym poziomie, lub nawet postuluje jednostronne rozbrojenie się swego kraju. /"Trybuna Ludu" z radością zamieszcza takie wiadomości na pierwszej stronie/. W wystąpieniach owych senatorów poczesne miejsce zajmuje teza o tym, iż żadna wojna atomowa nie może być wojną ograniczoną. Powyższe twierdzenie jest bez najmniejszej potrzeby wypowiedziane codziennie przez skądinąd poważnych polityków, by nie wspomnieć o przedstawicielach Światowej Rady Kościołów i innych rad obrońców pokoju. Oczywiście, oddaje ono wiernie treść czwartego aksjomatu teorii MAD.

Czy rzeczywiście każda wojna nuklearna musi nieuchronnie przekształcić się w wojnę strategiczną? Ostateczną odpowiedź na to pytanie mogłaby dostarczyć jedynie empiria. Wydaje się jednak, że istnieje co najmniej kilka istotnych powodów przemawiających za tym, iż konflikt nuklearny, jeśli do niego dojdzie będzie miał ograniczony charakter. Wśród nich na pierwszym miejscu należy postawić ograniczone zamiary i cele polityczne obydwu stron, wzajemne wystrzeganie się zniszczenia miast przeciwnika oraz pragnienie koncyliacji a nie kontynuowania wojny i jej eskalacji. Przyczyny, dla których oba mocarstwa powstrzymają się, przynajmniej w pierwszej fazie konfliktu, przed skierowaniem morderczego uderzenia na miasta, zostały już omówione wcześniej. Najkrócej przypominając, obydwaj przeciwnicy będą starali się za wszelką cenę uniknąć stworzenia sytuacji, w której jeden z nich nie miałby już nic do stracenia.

Teza o nieuniknionej eskalacji każdej wojny atomowej do poziomu strategicznej konfrontacji supermocarstw pozwoliła teoretykom "gwarantowanego zniszczenia" pozornie rozwikłać problem samozastraszenia. Co

prawda obecnie jedynie niewielu z nich nadal utrzymuje, że ra-
dzieckie ograniczone zastosowanie
broni atomowej np. w europej-
skim teatrze wojennym spowoduje
natychmiastowy odwet strategi-
czny Stanów Zjednoczonych. Jed-
nakże w dalszym ciągu przekon-
nani są oni o tym, że nawet groź-
ba pozbawienia cech wiarygodno-
ści jest dla Rosjan skuteczną za-
porą przed atakiem na sojusznik-
ów USA. Związek Radziecki t.-
dzie się bowiem nadal obawiał,
że Amerykanie nieumyślnie lub z
niezrozumiałych powodów przek-
ształcą lokalny incydent atomowy
w totalną wojnę nuklearną. Po to
więc, by utrzymać logiczną spój-
ność teorii, zaczęto mówić o "ra-
cjonalności irracjonalności"
/rationality of irrationality/ i
racjonalnie myślący przywódca
radziecki będzie się obawiał, że
amerykański prezydent zachowa się
w czasie konfliktu w sposób ir-
racjonalny.

Należy wszakże wziąć pod uwa-
gę, że mechanizm odstraszania nu-
klearnego powinien pracować bez
usterek nie tylko w czasie po-
koju, lecz przede wszystkim nie
powinien zawieść podczas ostre-
go kryzysu międzynarodowego. Na
przykład, wyobraźmy sobie, że przy-
wódca ZSRR znaleźli się w takiej
sytuacji, w której wojnę atomową
uważaliby za jedyną, chociaż ma-
jącą znikome szanse, alternatywę
likwidacji reżymu radzieckiego.
Czy również wtedy, komuniści
przestraszyliby się niewiarygod-
nych amerykańskich gróźb lub
baliby się, że prezydent USA za-
chowa się irracjonalnie? Czy w
tak dramatycznych dla nich oko-
licznościach, Rosjanie nie byłiby
wyjątkowo skłonni liczyć na to,
że Amerykanie zrezygnują z odwe-
tu bojąc się zniszczenia w nastę-
pnej kolejności amerykańskich
miast? Przywódcy ZSRR przecież
nie bez racji mogą przypuszczać,
że prezydent Stanów Zjednoczo-
nych odstąpi od szukania zemsty
za np. zabicie kilku milionów
Amerykanów oraz zniszczenie paru
instalacji wojskowych i będzie
raczej zabiegał o ocalenie pozos-
tałych przy życiu obywateli USA

Jak widać, teoria MAD nie potrafi
rozwiązać problemu, który sama
implikuje, mianowicie dylematu
"samozastraszenia się" białego Do-
mu perspektywą radzieckiego
kontrodwetu. Jednak dopiero w wa-
runkach ostrego kryzysu w sto-
sunkach pomiędzy USA i ZSRR owa
trudność nabiera kapitalnego
znaczenia, a nie rozwiązana sta-
je się dla Rosjan zachętą do
prowadzenia polityki szanta-
i prowokacji.

Wreszcie zarzut podstawowy
pod adresem teoretycznego mo-
delu "gwarantowanego zniszcze-
nia". Jeżeli z jakichkolwiek
przyczyn zawiedzie atomowe "od-
straszanie" i wybuchnie wojna
nuklearna, wówczas teoria MAD,
która, zajmuje się wyłącznie
tym, w jaki sposób zapobiec ta-
kiej ewentualności, stanie się
stertą nikomu niepotrzebnych
papierów. Cóż bowiem można bę-
dzie powiedzieć na jej podsta-
wie o przebiegu wojny jądrow-
wej? Niewiele ponad to, że
państwo, które idąc za jej ra-
dą zrezygnowało z obrony zos-
tanie katastrofalnie zniszczo-
ne, a najprawdopodobniej w
ogóle nie przetrwa wojny. Każda
doktryna, która rozdziela funk-
cję odstraszającą nuklearnego
arsenału od jego funkcji ope-
racyjnych i która koncentruje
się wyłącznie na zapobieganiu
wojnie, zapominając równocześ-
nie o przygotowaniach do niej,
zasługuje na miano strategii
szkodliwej i nieodpowiedzial-
nej. Zresztą cytowany już Ri-
chard Pipes zastanawia się,
czy "wzajemne gwarantowane
zniszczenie" w ogóle jest stra-
tegią. W podobnym duchu wypo-
wiada się Benjamin Lambeth:
"Doktryna MAD chociaż pow-
szecznie nazywana jest stra-
tegią - wszelako jest jej za-
przeczeniem. W odróżnieniu bo-
wiem od wszystkich poprzednich
doktryn, MAD przestaje być
przydatną dokładnie w tym mo-
mencie, w którym powinna ze-
cząć mieć zastosowanie, czyli
z chwilą wybuchu wojny." Tym-
czasem zaleca ona amerykańskim
generałom, by w obliczu radziec-

kiego ataku jądrowego na USA "zamknęli oczy, zaciągnęli się i odruchowo rozpoczęli zmasowany odwet, według z góry przygotowanej listy, jednocześnie na wszystkich radzieckich celach".

Powyższa krytyczna analiza amerykańskiej strategii nuklearnej upoważnia do stwierdzenia, że Stany Zjednoczone nie biorą na serio możliwości wybuchu wojny jądrowej. Wojna byłaby bowiem równoznaczna z zagładą cywilizacji i z końcem świata. Niewykluczone, że Amerykańscy stratedzy mają częściowo w tym wypadku rację. Ich kasandryczne wizje mogą faktycznie wypełnić się z tą różnicą, iż w przyszłości Amerykanie okażą się prorokami wyłącznie swojego tragicznego końca.

Pozostało nam jeszcze, idąc śladami Keith Payne a przeanalizować doktrynę "elastycznego reagowania", która w 1974 roku zastąpiła klasyczne "gwarantowane zniszczenie". Identyfikując ją jak jej poprzedniczkę, nowa doktryna postulowała zrezygnowanie przez USA z programów obronnych, które fachowo są określone nazwą "damage - limitation" oraz porzucenie planów uzyskania przewagi strategicznej nad Związkiem Radzieckim. Natomiast przewidywała, iż radzieckie ograniczone użycie broni atomowej spotka się ze strony USA również z ograniczoną odpowiedzią nuklearną, mającą charakter przede wszystkim demonstracji amerykańskiej siły i zdecydowania. Nowa doktryna głosi także gotowość Stanów Zjednoczonych na dalsze eskalowanie konfliktu aż do przekształcenia go w wojnę strategiczną. "Elastyczna odpowiedź" w ogóle jednakże nie wyjaśnia, dlaczego tylko prezydent USA miałby zdobyć się na odwagę wprowadzenia nuklearnej konfrontacji na jej kolejny wyższy szczebel. Co powstrzymałoby pierwszego sekretarza KPZR od pójścia w jego ślady? Dlaczego miałby on zrezygnować z dotrzymywania Ameryce kroku lub nawet prześcignięcia jej w

nuklearnej licytacji? Poza tym, rzecz podstawowa: żaden rozsądny szef Białego Domu nie zdecydowałby się na rozpoczęcie procesu eskalacji wiedząc, że bez przewagi strategicznej nad ZSRR oraz bez elementarnych zabezpieczeń przed uderzeniem jądrowym wroga, jego kraj nie przetrwa ostatniego etapu tego procesu, tzn. wojny strategicznej. Amerykański prezydent nie powinien liczyć na to, że Rosjanie, zanim dojdzie do użycia broni strategicznej, będą skory do ustępstwa.

Podobnie jak doktryna MAD, jej odmiana - strategia "elastycznego reagowania" jest groźna dla Stanów Zjednoczonych. Zależa bowiem USA podjęcie ryzyka nuklearnej eskalacji, której ostatnią fazą może być totalna wojna atomowa. Tej wojny Stany Zjednoczone w obecnych warunkach nie mogą przetrwać, ani tym bardziej wygrać. Nie powinny także liczyć na uzyskanie politycznych korzyści lub choćby zadowalającego rozstrzygnięcia w trakcie procesu eskalacji.

4. ZWYCIĘSTWO PROWOKACJI W CIENIU ATOMOWEGO PARASOLA

Czy teoria MAD, pomimo logicznych słabości, którymi jest obciążona, mogłaby, pod pewnymi warunkami być mimo wszystko odpowiednią doktryną strategiczną dla Stanów Zjednoczonych? Jeżeli tak, to jakie są to warunki? Keith Payne jest zdania, że brak logicznej poprawności właściwy wszystkim bez wyjątku założeniom doktryny, nie miałby stosunkowo dużego znaczenia, gdyby Związek Radziecki był zwykłym mocarstwem, który szanuje status quo w świecie. Dlaczego? Po prostu dlatego, że kryzysy w stosunkach pomiędzy obydwioma mocarstwami zdarzałyby się nie tak często jak obecnie, mniej byłoby okazji do wojen, czyli ogólnie mówiąc, sytuacji w których doktryny wojskowe są pod-

dawane praktycznemu egzaminowi.

Niestety, teoria "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia" została skonstruowana bez uwzględnienia istotnych różnic, które dzielią Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, ich politykę zagraniczną i myśl strategiczną. W swoich rozważaniach nad rolą ZSRR w mechanizmie atomowego szantażu twórcy MAD kierowali się w znacznym stopniu intuicją, intelektualną wygodą albo wręcz pobożnymi życzeniami. Opracowany przez nich model odstraszania nuklearnego stanowi teoretyczny opis strategicznych stosunków pomiędzy USA i ZSRR. Oba supermocarstwa traktuje on jak dwie identyczne kopie, jak dwa identyczne filary, na których zbudowana jest równowaga strachu. W ten sposób teoria "gwarantowanego zniszczenia" całkowitym milczeniem pominęła historyczną, kulturalną i polityczną specyfikę Związku Radzieckiego, usiłowała natomiast za wszelką cenę dopasować ów kraj do roli jednego ze strażników "technologicznego" pokoju. Aszelako rewolucyjny charakter radzieckiej polityki zagranicznej doszczętnie burzy myślową konstrukcję zbudowaną przez amerykańskich strategów. To właśnie polityka ZSRR jest przyczyną tego, iż logiczne błędy doktryny MAD, które kiedy indziej nie miałyby dużego znaczenia, teraz dyskwalifikują ją jako strategię państwa, gwarantującego bezpieczeństwo swoim zamorskim sojusznikom. Rywalizacja Związku Radzieckiego ze Stanami Zjednoczonymi nie ogranicza się bowiem wyłącznie do bezpośrednich stosunków obu państw. Najczęściej jej terenem są państwa trzecie, nieraz znacznie oddalone od USA. Amerykanie są zatem zmuszeni do obrony politycznej orientacji i bezpieczeństwa swoich sprzymierzeńców przed zagrożeniami, które stwarza rewolucyjna polityka radziecka. Albowiem Związek Radziecki jest mocarstwem rewizjonistycznym, kwestionującym legitymizm zachodnich form sprawowania wia-

dzy oraz prawomocność wzorowego na tych formach pokojowego rozwoju państw Przeciego Świata. Marksizm - leninizm nie może zaakceptować ustabilizowanej sytuacji międzynarodowej, chyba, że oznaczałoby to, iż pax sovietica zapanował nad całym światem. Dla marksisty Andropowa uznanie aktualnego status quo w świecie byłoby śmiertelnym niebezpieczeństwem. Oznaczałoby, że kierowany przez niego komunistyczny gigant zrezygnował ze swojej rewolucyjnej misji i wypowiedział posłuszeństwo determinizmowi historycznego postępu, lecz odrzucając komunizm nie wiadomo, czy pozostałby gigantem.

Na początku lat 70-tych nad skłóconym i podzielonym na wrogie obozy światem zaczął unosić się "duch odprężenia". Zachód witał go z nadzieją. Słowem odprężenie oznaczało - tak wówczas powszechnie wierzone - że Związek Radziecki wreszcie porzucił od siebie ideologiczny rynsztunek i wrócił na tory tradycyjnej polityki wielkomocarstwowej. W taki też sposób interpretowano zasadnicze dokumenty tej epoki uzgodnione przez oba supermocarstwa lub z ich udziałem. Mowa oczywiście o Układzie Końcowym Konferencji Helsińskiej, Deklaracji o Podstawach Stosunków Wzajemnych pomiędzy USA i ZSRR z 1972 roku oraz o Porozumieniu między USA i ZSRR o Zapobieganiu wojnie Nuklearnej podpisanym w czerwcu 1973 roku. Jednakże dopiero bliższa znajomość radzieckiego żargonu ideologicznego pozwoliła właściwie ocenić znaczenie tych dokumentów. Okazało się wówczas, że Związek Radziecki, traktując wspomniane układy jako część prawa międzynarodowego, uważa je za formalną podstawę swojej polityki światowego interwencjonizmu.

Warto więc zapamiętać, że radzieccy politycy zawsze łączą "pokojową koegzystencję" z papieraniem sprawy "pokoju" i "samostanowienia". "Sprawa pokoju" jest natomiast nierozdzielnie wiązana z "socjalizmem". Zao-

"samostanowienie" to w żargonie radzieckiej politgramy nie innego tylko "zespolecie narodu na bazie socjalizmu". Oczywiście ex definitione Związek Radziecki nigdy nie może być państwem-agresorem, wyłącznie kapitalizm jest źródłem konfliktów i wojen. Zachodni pluralizm polityczny jest nie do pogodzenia z "postępem społecznym", "wyzwoleniem narodowym" oraz "samostanowieniem". Mając więc już elementarne obojętne z partyjnym slangiem, łatwo teraz zgadnąć, co mieli na myśli przywódcy Związku Radzieckiego, kiedy we wzmiarkowanych dokumentach zobowiązali się, że nie będą szczędzić starań, by "usunąć źródła wojny" i "zmniejszyć napięcie".

Sukcesy radzieckiej polityki w Vietnamie, Laosie, Kambodży, Angoli, Etiopii i w Afganistanie są uważane przez reprezentantów Kremla za godne naśladowania wzory "walki o wolność i postęp społeczny". Niedawno jak w październiku 1979 roku z pisma "Kommunist" można było dowiedzieć się, iż wcielenie republik bałtyckich do Związku Radzieckiego było przykładem niemieszania się w sprawy obcego państwa i poparcia udzielonego "rewolucyjnym masom". Sam Brażniew najlepiej ujął cel radzieckiego odprężenia: "Nie robimy sekretu z tego - mówił on na 25 zjeździe KPZR, że odprężenie traktujemy jako drogę prowadzącą do stworzenia bardziej sprzyjających warunków dla pokojowego budownictwa socjalistycznego i komunistycznego". Coż to oznacza? Najpierw trzeba jednak przełożyć słowa Breżniewa z żargonu ideologicznego na normalny język. Otóż, zasady "pokojowej koegzystencji" ograniczyły swobodę postępowania amerykańskim politykom. Nie mogli oni już dłużej z tą samą siłą co wcześniej, przeszkadzać Związkowi Radzieckiemu w popieraniu "rewolucyjnego procesu" na świecie. Rzecz jasna Zachód nie zaakceptował "odprężenia" dobrowolnie. Uczynił to jedynie pod naciskiem rosnącej

z roku na rok potęgi ZSRR i bratnich krajów socjalistycznych. Stany Zjednoczone, pozbawione strategicznej przewagi nad Związkiem Radzieckim, nie są już dłużej w stanie traktować go z "pozytywną siłą" i przeciwstawiać się "postępowym przemianom" inspirowanym przez niego w różnych częściach globu.

Inaczej mówiąc, "pokojowe współistnienie", czyli odprężenie, było polityką KPZR mającą na celu stworzenie najdogodniejszych warunków do ekspansji komunizmu przy jednoczesnym uniknięciu wojny nuklearnej ze Stanami Zjednoczonymi. Nowa radziecka taktyka krępując ruchy USA zwiększała jednocześnie swobodę manewru Rosjanom i pozwalała im bezkarnie popierać rewolucyjne i terrorystyczne ruchy na całym świecie. "Pokojowa koegzystencja" była więc polityką radzieckiego interwencjonizmu.

Jakie zatem wnioski wynikają z powyższej oceny radzieckiej polityki? Nie ulega wątpliwości, że rewolucyjny charakter tejże polityki jeszcze bardziej komplikuje rozwiązanie problemu "samozastraszenia". Wiadomo przecież, iż terenem, na którym najczęściej rozgrywają się rywalizacje obydwu supermocarstw są kraje trzeciego tzn. sojusznicy i satelici Stanów Zjednoczonych oraz Związku Radzieckiego. Tymczasem "samozastraszenie" polega na tym, iż Amerykanie nie zdecydowali się na przeprowadzenie zdecydowanej operacji odwetowej w przypadku radzieckich ograniczonych działań nuklearnych lub prowokacji wobec sojuszników Stanów Zjednoczonych. Czy jest jakieś wyjście z tego dylematu? Niestety, problemu bezpieczeństwa Europy Zachodniej i Japonii nie można rozwiązać - jak niektórzy proponują - zwiększając ilość broni konwencjonalnej w tych zagrożonych radzieckim ekspansjonizmem częściach globu. Aktualnie, ZSRR ma przygniatającą przewagę nad przymierzem atlantyckim we wszystkich rodzajach nieatomowego uzbrojenia. Ale gdyby nawet pominąć ten oczywisty fakt i

szaleć, że radziecka armia uległaby w konwencjonalnym pojedynku wojskom zachodnioeuropejskim, to wówczas Rosjanie nie pozostawiliby nic innego, jak tylko sięgnąć po broń atomową. Wniosek nasuwa się sam. Europejskie arsenały broni konwencjonalnej, choćby najsilniejsze, muszą być koniecznie wsparte amerykańską bronią jądrową, która potrafiłaby powstrzymać Rosjan przed rozpoczęciem wojny atomowej, a w przypadku gdyby mechanizm odstraszania zawodził, dawałaby pewność wygrania procesu eskalacji i w rezultacie wojny strategicznej. Nie byłoby więc mowy o "samozastraszaniu" Amerykanów, gdyby mieli oni przewagę strategiczną nad Związkiem Radzieckim. I jeszcze jedno: przebieg każdego poważnego kryzysu międzynarodowego jest determinowany aktualnym stosunkiem strategicznych sił nuklearnych obu supermocarstw.

Dobrze zdają sobie z tego sprawę przywódcy ZSRR. Uważają oni, że radzieckie zbrojenia prowadzone w niezwykle szybkim tempie od końca lat 60-tych zmieniły układ sił na świecie na korzyść Związku Radzieckiego i zmusiły w rezultacie Stany Zjednoczone do uznania zasad "odprężenia". Zatem zdaniem radzieckich przywódców stosunek nuklearnych sił obu supermocarstw ma całkowicie konkretny wymiar polityczny. Oczywiście te twierdzenia używa jednak uwagę amerykańskich strategów. Rosjanie dobrze więc znają odpowiedź na przytoczone na początku pytanie Kissingera "Cóż, na miłość Boską oznacza przewaga strategiczna?". Według nich, owa przewaga jest potrzebna Związkowi Radzieckiemu po to, by mógł on uniemożliwić Zachodowi "ekspertowanie kontrrewolucji" i nieskrępowanie popierać "rewolucyjny proces" na świecie. Kreml ma swoją własną koncepcję "parasela atomowego". Pod jego ochroną i przy pomocy kilkunastu tysięcy kubańskich wojsk, do władzy w Anglii doszła rewolucyjna KPLA, zaś obecnie marksistowska Nikaregua tuż pod nosem Amerykanów

usiłuje zmienić układ sił w Ameryce Środkowej.

5. "WIEŚNIACY" KONTRA INTELEKTUALIŚCI

Z dotychczasowych rozważań wynika, że amerykańska strategia nuklearna jest obciążona poważnymi błędami logicznymi, ponadto nie uwzględnia ona rewizjonistycznego charakteru radzieckiej polityki zagranicznej. Właściwie wymienione wady całkowicie dyskwalifikują doktrynę MAD jako strategię odpowiadającą potrzebom Stanów Zjednoczonych. Lecz nie koniec na tym. Teoria "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia" zawiera również inny poważny błąd. Za pewnik nie podlegający dyskusji przyjmuje ona, iż radziecka strategia wojenna nie różni się w istotny sposób od amerykańskiej doktryny nuklearnej. Wszelako odczytana z dostępnych radzieckich źródeł, atomowa doktryna ZSRR stoi w rażącej sprzeczności z zachodnimi koncepcjami odstraszania, których fundamentem jest groźba zniszczenia wszelkich skupisk ludzkich oraz przemysłowego zaplecza wroga. W tym miejscu na pewno zaprotestowałyby zwolennicy "gwarantowanych zniszczeń" powiadając, iż trudno wierzyć oficjalnym publikacjom radzieckim, po których można przecież spodziewać się, że są obliczone na oszukanie Zachodu. Dlatego nie ma sensu - mówiliby dalej - studiowanie "Wojennej Kysli" oraz publikacji ukazujących się w "Bibliotece Oficera" /najbardziej autorytatywne źródła radzieckie/ i tropienie w nich śladu różnic w poglądach amerykańskich i radzieckich strategów. Bowiem logika narzucona samym istnieniem broni atomowej jest dla wszystkich bez wyjątku jednakowa i została już dawno ujęta w teoretyczne ramy "gwarantowanego zniszczenia".

Jednakże wydaje się, że rację ma Benjamin Lambeth, który sądzi, iż "kierownictwo ZSRR nie może sobie pozwolić na wprowadzanie

w błąd /radziecki/ korpus oficerski co do swoich zamiarów strategicznych po to jedynie, by oszukać Zachód". Marszałek Greczko, zresztą wielokrotnie powtarzał, że "podstawowych założeń naszej doktryny wojskowej nigdy nie ukrywaliśmy i nie ukrywamy". Zdaje się, że w tym przypadku można mu wierzyć. Tymczasem większość amerykańskich strategów woli brać za prawdziwe poglądy Kremla to, co "przy kieliszku wódki mówił powien miły facet z radzieckiej ambasady w ONZ" /jak ironizował Hugh Peterson- Watson/. Oczywiście, ołoucha, jak w przypadku Enuc, ac, i istoty zębaty, oświecenie, oficjalne publikacje radzieckie poświęcone strategii atomowej są pisane ideologicznym tępaczem, z pewnością nie zachęcającym do ich pilnego studiowania.

Aktualna doktryna nuklearna Związku Radzieckiego została sformułowana pod nadzorem marszałka Żukowa w ciągu dwóch pierwszych lat rządów Chruszczowa/1955-1957-. Rok 1957 można bowiem uznać za datę ostatecznej klęski teorii głoszonej przez Malenkowa po śmierci Stalina. W strategii nuklearnej Żukowa nie ma nawet śladu po tezach Malenkowa, który twierdził, powtarzając zresztą za Eisenhowerem, że wojna atomowa jest niemożliwa, ponieważ musiałaby oznaczać zagładę całej ludzkości. Zwykle również zapominano o czołowym teoretyku radzieckiej wersji MAD, generale Palenskim.

Radziecka strategia nuklearna jest z całą pewnością tradycyjna. Oznacza to, że podstawowy cel wojny upatruje w pokonaniu wroga. Lecz na czym, według Kremla, polega zwycięstwo w wojnie atomowej? Jan Bziak w książce poświęconej radzieckiej myśli strategicznej ujmując odpowiedź na to pytanie w czterech punktach: 1/ mimo zniszczenia Związku Radzieckiego nie przestaje funkcjonować politycznie, ekonomicznie i militarnie po pierwszej wymianie /atomowych uderzeń/; 2/ wojna jest prowadzona dopóki wszystkie siły wroga nie zostaną zniszczone lub pokonane; 3/ Euro-

pa jest okupowana; 4/ ZSRR odbudowuje się /ze zniszczenia/ w niedługim czasie, a radziecki socjalizm panuje nad światem.

Rosjanie stanowczo odrzucają zachodnią tezę, iż wojna atomowa byłaby dla obydwu stron konfliktu totalną katastrofą. Przeciwnie, są oni przekonani, że gdyby doszło do tej wojny, wówczas socjalizm odniósłby ostateczne zwycięstwo nad kapitalizmem. Typową opinię na ten temat można znaleźć w pracy Karabanowa i Kalipowa: "Głęboko błędne i szkodliwe są dezorientujące twierdzenia burżuazyjnych ideologów, jakoby w wojnie termonuklearnej nie mogło być zwycięzcy". Radzieccy autorzy są zatem przekonani, że wojna atomowa jest możliwa. Pod tym względem nie podziela ją oni optymizmu swoich amerykańskich kolegów. Ich zdaniem żaden rozsądny przywódca nie powinien wiązać bezpieczeństwa swojego państwa z teorią odstraszania, która gwałbi jej praktykę, skazuje kraj na maksymalne zniszczenie. Rosjanie twierdzą więc, że doktryna MAD jest oparta na "błędnych spojrzeniu na świat /.../ idealizmie i metafizyce."

Generałowie radzieccy, w przeciwieństwie do cywilnych strategów amerykańskich, nie uważają bomby atomowej za cudowną, "absolutną" broń. Są też najdalej od tego, by twierdzić, iż jej wynalezienie spowodowało radykalny przełom w dotychczasowej myśli strategicznej. Owszem, nowy amerykański wynalazek budził w Związku Radzieckim niekłamany respekt. Zanotował to w swoich pamiętnikach Milovan Đilas: "/Stalin/ o bombie atomowej: To jest potężna rzecz, potężna! Wypowiadał to z wielkim szacunkiem." Wszelako Rosjanie twierdzą, że nowatorski charakter broni nuklearnej sprzeczny jest z tym, iż wojna atomowa pozwala bezpośrednio zrealizować cele strategii, bez konieczności prowadzenia długotrwałych działań taktycznych.

Pełni ona natomiast dwie funkcje, z których pierwsza -

odstraszająca, pokrywa się formalnie z rolą, którą w myśl postulatów teorii MAD wypełniają amerykańskie siły strategiczne. lecz jest to zbieżność wyłączenie formalna. Słusznie bowiem zauważył Richard Pipes, że Rosjanie nie akceptując teorii odstraszenia uznają sam fakt atomowego odstraszenia. Jednakże traktują go jako boczny aspekt istnienia strategicznych sił nuklearnych, potrzebnych im nie tylko do rozpoczęcia i przetrwania, lecz również do wygrania wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Nie odstraszenie, lecz właśnie pokonanie wroga - oto drugie i główne zadanie, które postawili przed bronią atomową radzieccy strategowie.

Natomiast obrona "czynna" oraz "bierna" stanowi jeden z najistotniejszych elementów składających się na powodzenie radzieckich przygotowań do prowadzenia i wygrania wojny jądrowej z USA. Według klasycznego podręcznika strategii wojskowej marszałka Sokołowskiego, obronę czynną stanowią te działania, które "w możliwie największym stopniu krzyżują lub osłabiają ofensywne przygotowania wroga." Wyjaśnijmy, co ma na myśli radziecki marszałek. Otóż pod cytowanym eufemizmem kryje się plan atomowego uderzenia "ubiegającego" zamiary Stanów Zjednoczonych. Fachowa literatura radziecka bardzo starannie odróżnia uderzenie prewencyjne /preventive/ od ubiegającego /preemptive/. Ten zabieg jest konieczny z następującego względu. Mianowicie, Związek Radziecki oficjalnie deklaruje, że nigdy jako pierwszy nie rozpocznie wojny atomowej. Równocześnie, jego państwowa ideologia wyraźnie sugeruje, iż Związek Radziecki ze swej natury w żadnych okolicznościach nie może być agresorem. Radziecka deklaracja musi więc w takim razie oznaczać, że ZSRR rezygnuje z koncepcji ataku prewencyjnego, w samym zarodku likwidującego potencjalne niebezpieczeństwo. Natomiast radziecka teoria preempcji głosi, iż Związek Radziecki nie zawaha się zadać Stanom Zjednoczonym strategicz-

negu ciosu nuklearnego jeżeli ponad wszelką wątpliwość upewni się, że amerykański atak jest nieunikniony. Wówczas, radzieckie uderzenie będzie miało całkowicie obronny charakter, a jego celem będą amerykańskie rakiety strategiczne, przygotowane do odpalenia i wysłania w kierunku Związku Radzieckiego. Według wspomnianego podręcznika strategii, zadaniem radzieckiego ataku ubiegającego jest "przerwanie funkcjonowania lub zniszczenie centrów administracyjno - politycznych jak również wojskowo - przemysłowych oraz całkowita dezorganizacja tyłów wroga." Czyli atak jest obroną, obrona jest atakiem. Radzieckim marszałkom chodzi więc o dokonanie już w pierwszej fazie wojny decydującej zmiany w układzie sił na korzyść ZSRR. Tylko pod tym warunkiem możliwe będzie zrealizowanie celów radzieckiej strategii bez prowadzenia uciążliwych operacji taktycznych. Albowiem osłabieni Amerykanie albo sami się poddadzą, nie wierząc w zwycięstwo i nie chcąc zwiększać zniszczeń i liczby ofiar, lub będą musieli ulec, jeśli zdecydują się na dalszą walkę.

Drugi rodzaj radzieckich przygotowań defensywnych stanowi obronę bierną. Swoim zakresem obejmuje ona obronę cywilną oraz zabezpieczenie dużych miast i wielkiego przemysłu przed atakiem wroga. W tym miejscu Czytelnikowi należy się małe wyjaśnienie. Radzieckich specjalistów od obrony cywilnej nie interesuje obrona wszystkich obywateli Związku Radzieckiego, lecz wyłącznie ich szczególnej części, tzn. kadry. Kadry to oczywiście polityczno-wojskowe kierownictwo kraju, a także dyrektorzy zakładów pracy i wykwalifikowani robotnicy. Czyli generalnie, ludzie, którzy po zakończeniu wojny będą niezbędni do podźwignięcia kraju ze zniszczeń oraz potrzebni do normalnego funkcjonowania systemu radzieckiego.

Radziecka doktryna wojenna jest zatem całkowitą zaprzeczeniem amerykańskiej teorii MAD. Wszelako nie znalazło zrozumie-

nia w Moskwie również "elastyczne reagowanie". Rosjanie co prawda zgadzają się, że istnieje "próg" pomiędzy wojną konwencjonalną a użyciem broni atomowej. Natomiast w przeciwieństwie do Amerykanów nie rozróżniają oni kolejnych szczebli nuklearnej eskalacji. Samo zresztą pojęcie eskalacji konfliktu atomowego jest im zupełnie obce, podobnie jak zachodnie wyrażenia intelektualnie teorii licytacji nuklearnej. Radzieccy strategowie podkreślają, że ZSRR będzie prowadził wojnę aż do całkowitego pokonania przeciwnika i osiągnięcia swoich politycznych zamiarów. W związku z tym, marszałkowi Ustinowowi nigdy nie przyjdzie do głowy, by zadowolić się takim arsenałem, który odzwierciedlałby faktyczne po. sły militarne kraju. Ilość broni, która komuś innemu wystarczałaby w zupełności, dla Rosjan jest zaledwie niezbędna. Nie ustają więc w ciągłym produkowaniu i gromadzeniu broni każdego rodzaju, przeznaczając się na najgorszą ewentualność, na wszelki wypadek.

Krótko mówiąc, radziecką strategię atomową konstytuują trzy elementy: przygotowania do pokonania wroga, strategiczna przewaga nad USA oraz ofensywny plan uderzenia ubiegającego.

Nie więc dziwnego, że większość zachodnich strategów wyraża się o radzieckiej doktrynie z lekceważeniem. Paul Warnke, główny amerykański negocjator w rozmowach SALT był zdziwiony jej "prymitywnymi aspektami" i w związku z tym proponował, by Zachód podjął wysiłek "wprowadzenia Rosjan w prawdziwy świat nuklearnych broni strategicznych". Natomiast Robert McNamara, sekretarz obrony Kennedy'ego, uważnie co prawda przeanalizował podręcznik Sokolowskiego, nie zrobił on jednak na nim wrażenia, ponieważ nie znalazł w nim "wyrafinowanej analizy wojny atomowej".

Radzieckie przygotowania do zniszczenia sił strategicznych wroga oraz jego polityczno-administracyjnych ośrodków, a także radzieckie programy defensywne

/czyli wg zachodniej terminologii "counterforce" i "damage-limitation"/ wywołują pobłażliwy uśmiech na twarzy zachodnich polityków, mocno przekonanych o tym, że Związek Radziecki wciąż nie zdaje sobie sprawy z realiów ery nuklearnej. Ten "brak wyrażenia" radzieckiej strategii jądrowej jest, według Romana Kolkowicza, spowodowany niegdyśszym zacofaniem ZSRR pod względem technologii nuklearnych. Kolkowicz jednak twierdzi, że prawa rozwoju technologicznego są uniwersalne i działają ponad granicami państw. W związku z tym, przewiduje on, że w niedalekiej przyszłości nastąpi w USA i ZSRR daleko idąca uniformizacja myśli strategicznej. W praktyce będzie to oznaczało, że Związek Radziecki zaakceptuje doktrynę "gwarantowanego zniszczenia", a tym samym zrezygnuje z planów wygrania wojny atomowej i ograniczenia jej destrukcyjnych skutków.

Wielu strategów na Zachodzie, myślących podobnie jak Kolkowicz i Warnke, wiązało swoją nadzieję na "wprowadzenie Rosjan w prawdziwy świat nuklearnych broni strategicznych" z procesem negocjowania układów SALT. Ale dosłanie zupełnie zawiedli swoich mentorów zza oceanu. Radzieccy negocjatorzy tak starali się pokierować przeciętlem rozmów, by ich wynik nie stał w sprzeczności z "prymitywnymi aspektami" doktryny Sokolowskiego o tym Thomas A. Wolf w książce "The SALT experience": "Ze swej strony delegacja amerykańska wielokrotnie podejmowała starania, by doprowadzić do nadania niezniszczalności broni ofensywnej i jej zdolności penetrowania /obrony przeciwnika/ rangę kardynalnych zasad wzajemnego odstraszenia i trwałych stosunków strategicznych... Chociaż można było sądzić, że Sowietów są wrażliwi na kwestie niezniszczalności, jeśli chodziło o ich własne siły, to - podobnie jak w przypadku SALT I - znów najwyraźniej nie można było ich nakłonić do tego, by uznali, iż wzajemna niezniszczalność broni ofensywnej jest korzystna dla

bezpieczeństwa obydwu stron."

Dobrze by było gdyby zachodni stratedzy wreszcie przestali mówić z pogardą o radzieckiej doktrynie strategicznej, a zechcieli wziąć pod uwagę, iż jest ona funkcją "charakterystycznych" cech Związku Radzieckiego. Bowiem różnice, które dzielą ją od amerykańskiej teorii MAD nie są spowodowane technologicznym zacofaniem ZSRR, są one wyłącznie świadectwem istnienia głębokiej kulturowej przepaści, oddzielającej ten kraj od Stanów Zjednoczonych. Amerykańską polityką zagraniczną kieruje przecież w znacznej mierze wilsonowski idealizm. Natomiast radziecki minister Gromyko patrzy na świat oczami hobbesa i za naturalne regulatory życia społecznego oraz współżycia międzynarodowego uważa przemoc i konflikt. Według niego, wojna jest jedną z form walki klasowej. Poza tym, jeżeli cokolwiek łączy radzieckie elity partyjne z ogółem obywateli Związku Radzieckiego, to tym łącznikiem jest niewątpliwie owo socjaldarwinowskie spojrzenie na świat. Powołując się znów na opinię R. Pipesa, wielkiego znawcę dziejów Rosji, przewrót bolszewicki w 1917 roku, niwelując wpływy rosyjskiej burżuazji wyniósł do władzy muzyka, prymitywnego wiesniaka rosyjskiego. Ow, co rusz doświadczany w życiu, kierował się w nim jedyną praktyczną zasadą: jeśli jesteś słaby, to musisz być przebiegły, jeśli silny - przynus połącz z chytrością. Być silnym, a nie czerpać z tej racji korzyści jest oznaką słabości.

Związek Radziecki nigdy nie zaakceptuje zachodnich koncepcji strategicznych. Myli się Roman Kolkowicz głosząc jeszcze jedną wersję teorii konwergencji. Radziecką doktrynę strategiczną determinuje nie rozwój technologii nuklearnych, lecz historia Rosji, ideologia ZSRR oraz tradycja - nie ogromna rola armii w życiu tego państwa.

6. DLACZEGO ZWIĄZEK RADZIECKI SADZI, ŻE NA PEWNO WYGRA WOJNĘ ATOMOWĄ ?

Państwo, które przystępując do wojny atomowej myśli o jej przetrwaniu, musi zatem posiadać środki pozwalające mu zniszczyć ofensywne siły wroga, a tym samym umożliwić nieprzyjacielski odwet. Inaczej mówiąc, państwo to musi mieć przewagę strategiczną nad rywalem. Na przykład, trudno sobie wyobrazić, by prezydent USA odważył się uwikłać swój kraj w konflikt nuklearny, wiedząc równocześnie, że ów akt byłby równoznaczny z zagładą lub katastrofalną destrukcją Ameryki. Stany Zjednoczone, słabsze strategicznie od Związku Radzieckiego, nigdy nie przyjmą z nim wojny atomowej.

Jednakże amerykańscy stratedzy - o czym już wcześniej była mowa - na ogół zgodnie twierdzą, że przewaga strategiczna nie daje żadnych korzyści politycznych. A jeżeli część z nich, pomimo tego, obstaje przy jej utrzymaniu przez Stany Zjednoczone, to czyni tak wyłącznie ze względu na to, iż kraje Przeciego Świata, zdaniem tej grupy, mają "prymitywne" wyobrażenie o stosunkach strategicznych, nie rezygnują z konfrontowania siły obydwu supermocarstw. Zatem przewaga strategiczna według wspomnianych zwolenników jej utrzymania, jest potrzebna Ameryce wyłącznie do zachowania swojego autorytetu i prestiżu w świecie.

Zachodni stratedzy są tak zaaferowani powtarzaniem w kółko swoich tez o bezużyteczności przewagi strategicznej, że nie mają nawet czasu na to, by posłuchać co w tej sprawie mają do powiedzenia Rosjanie. A przecież to właśnie radziecki punkt widzenia ma kluczowe znaczenie! Załóżmy bowiem na chwilę, jak chcą tego zwolennicy teorii MAD, że istotnie, przewaga strategiczna nie ma żadnego politycznego znaczenia. Niemniej, gdyby przywódcom radzieckim przyszło, niestety, różnić się z nami w tej kwestii, to w przypadku ostrego kryzysu międzynarodowego wyłącznie ich pogląd miałby decydujący wpływ na jego przebieg. Na to, czy lokalny kry-

zys przekształci się w wojnę strategiczną, czy przeciwnie, zostanie zażegnany przy konferencyjnym stole. Albowiem wystarczy, że tylko Związek Radziecki jest przekonany, iż 1/ na przewagę strategiczną nad USA i 2/ potrafi ją politycznie zużytkować, a wówczas będzie on bardziej skorydo awanturniczej i prowokacyjnej polityki. Na przykład, wyobraźmy sobie, że amerykańskie wojska w Europie Zachodniej zostały pokonane przez czerwoną armię /przyjdzie to nam bardzo łatwo, gdyż perspektywa to niesłychanie prawdopodobna/. W takiej sytuacji, prezydent Stanów Zjednoczonych zrezygnuje z eskalowania konfliktu i przekształcenia go w totalną wojnę strategiczną, wiedząc, że jego kraj nie przetrwa odwetowego uderzenia radzieckiego. Natomiast radzieckie kierownictwo, które znalazłoby się w analogicznych okolicznościach /rzecz z kolei nieprawdopodobna/ bez wahania zdecydowałoby się przenieść działania wojenne z regionalnego teatru wojny na scenę strategicznej konfrontacji. Ufając bowiem w swoją wyższość militarną nad Amerykanami /choćby całkowicie bezpodstawnie/ Kreml usiłowałby w ten sposób uniknąć porażki w lokalnej wojnie.

Po tych kilku uwagach podkreślających znaczenie przewagi strategicznej, pora przejść do oszacowania sił nuklearnych obu supermocarstw. Według danych, którymi posługiwały się delegacje negocjujące układ SALT, Związek Radziecki ma więcej od Stanów Zjednoczonych międzykontynentalnych pocisków strategicznych wyrzeliwanych z ziemi /ICBM/. Na jego 1396 wyrzutniach zamontowano 6240 rakiet typu SS-11, SS-13, SS-17, SS-18 i SS-19. Natomiast Amerykanie dysponują 1052 wyrzutniami z 2152 pociskami /Minuteman III, Minuteman II i Titan II/. Jeśli chodzi o strategiczne rakiety wyrzeliwane z morza /SLBM/, to pod tym względem Stany Zjednoczone górują nad Związkiem Radzieckim. Odpowiednie dane przedstawiają się następująco:

co: po stronie radzieckiej 950 wyrzutni z 1302 pociskami klasy SS-N, po stronie USA 576 wyrzutni i 5072 rakiety typu Polaris i Posejdon.

Radzieckie wyrzutnie strategiczne ICBM-ów mają bardzo dużą moc /throwweight/. Umożliwia ona przenoszenie po ustalonej trajektorii lotu większych ładunków jądrowych od tych, które są wystrzeliwane z amerykańskich wyrzutni Minutemanów. Wielka moc pozwala również na stosowanie najróżniejszych kombinacji. Na przykład, Rosjanie mogą na każdej swojej wyrzutni umieścić albo pojedynczą rakietę SS-18 /Mod 1/ o ogromnej sile 18-25 megaton, albo 10 sztuk mniejszych, lecz bardzo mocnych dwumegatonowych SS-18 /Mod 2/. Tymczasem amerykańskie wyrzutnie nie mają takich możliwości. Ich niewielka moc pozwala na zainstalowanie albo jednej silnej głowicy /odpowiadającej wielkością radzieckiej SS-18 Mod 2/, albo trzech bardzo małych pocisków o mocy 0,17 megaton każdy /Minuteman II Lk-12/. Natomiast wyrzutnie umieszczone na okrętach podwodnych mają generalnie mniejszą moc niż instalacje naziemne. Związek Radziecki posiada w swoim uzbrojeniu wyłącznie jednogigatonowe rakiety wyrzucane z morza /SLBM/. Stany Zjednoczone stosują głowice o jeszcze mniejszej mocy /0,05 megaton w przypadku pocisku Posejdon C-3/.

ZSRR wykorzystując ogromną moc swoich wyrzutni strategicznych, umieścił na nich dużą ilość bardzo silnych ICBM-ów, czego niestety nie jest w stanie zrekompensować amerykańska przewaga nad Związkiem Radzieckim pod względem ilości SLBM-ów, przenoszących niewielkie ładunki atomowe.

O czym świadczą przytoczone dane? Cóż nie ulega wątpliwości, że potężne ładunki jądrowe umieszczone w radzieckich rakietach strategicznych mają za zadanie zniszczyć amerykańskie obiekty wojskowe o specjalnej, wzmocnionej konstrukcji /np. wy-

rzutnie rakiet, bunkry dowodzenia/. Natomiast broń strategiczna niewielkiej mocy, a więc taka, jaka znajduje się w uzbrojeniu Stanów Zjednoczonych, nadaje się wyłącznie do burzenia bezbronných miast. Oznacza to, że w przeciwieństwie do Amerykanów, Związek Radziecki dysponuje obecnie ofensywnymi siłami typu "counterforce", umożliwiającymi mu zlikwidowanie potencjału strategicznego USA, czyli amerykańskich sił odwetowych. Dopiero zbudowanie w Stanach Zjednoczonych nowej generacji ICBM-ów - rakiet MX /missile experimental/ o zwiększonej sile i dokładności da amerykańskiemu wojskowemu do ręki broń nadającą się do burzenia obiektów radzieckich.

Jak wiadomo, współczesne pociski ICBM są wyposażone nie w jedną, lecz w kilka lub kilkanaście głowic, które w czasie lotu rozdzielają się i dalej samodzielnie naprowadzają się na różne cele /tzw. MIRV/. Jeden radziecki pocisk strategiczny może więc zniszczyć kilka wyrzutni Minutemanów równocześnie. Oznacza to, że Związek Radziecki jest w stanie zlikwidować wszystkie amerykańskie rakiety strategiczne, używając w tym celu jedynie pewnej części swoich sił nuklearnych. Krótko mówiąc Rosjanie mają przewagę strategiczną nad Stanami Zjednoczonymi. Gdyby bowiem rozpatrywać, tak jak to uczynił w swojej książce Keith Payne, hipotetyczny atak amerykański na radzieckie wyrzutnie atomowe, wówczas okazałoby się, że Amerykanie używając praktycznie wszystkie swoje siły strategiczne zdołaliby zniszczyć zaledwie część arsenału atomowego ZSRR. Radzieckim przywódcom nadal zostałoby 816 wyrzutni z 3571 głowicami, czyli wystarczająco dużo, by zadać Stanom Zjednoczonym mordercze uderzenie odwetowe. Oczywiście, analogiczny atak radziecki postawiłby Amerykanów w jeszcze tragiczniejszej sytuacji, zostawiając im nie więcej niż 215 głowic. Wobec 4120 znajdujących się wówczas w radzieckich rękach, owe 215 głowic przestałoby mieć jakie-

kolwiek znaczenie.

Co prawda arsenał strategiczny Stanów Zjednoczonych jest zbudowany z "triady" sił nuklearnych, w skład której wchodzi międzykontynentalne rakiety wystrzeliwane z ziemi /ICBM/ i z okrętów podwodnych /SLBM/ oraz lotnictwo strategiczne. Obróńcy koncepcji MAD, jeżeli nawet uda się ich przekonać o tym, że amerykańskie ICBM-y nie przetrwają radzieckiego ataku, zwykle wysuwają wówczas następujący argument. Twierdzą oni mianowicie, że Związek Radziecki nie zaryzykuje zniszczenia lądowych rakiet strategicznych Stanów Zjednoczonych, ponieważ będzie się obawiał amerykańskiego odwetu, który byłby przeprowadzony za pomocą pozostałych dwóch elementów i atomowej "triady".

Jednakże coraz częściej kwestionowana jest na Zachodzie niezniszczalność rakiet SLBM, zainstalowanych na amerykańskich łodziach podwodnych. Prawdopodobnie radziecki atak wyeliminowałby z walki wszystkie okręty z bronią strategiczną na pokładzie, które w momencie nalotu znajdowałyby się w bazach morskich /czyli mniej więcej 1/3 wszystkich podwodnych sił nuklearnych USA/. Natomiast w ciągu najbliższej dekady nowa radziecka broń ASW będzie w stanie poważnie zagrozić patrolującym jednostkom wyposażonym w pociski SLBM. Ponadto, należy pamiętać, że ładunek atomowy przenoszony przez te rakiety jest niewielki i umożliwia on zburzenie wyłącznie bezbronných miast. W 1976 roku Paul Nitze pisząc na łamach "Foreign Affairs" zauważył, że zlikwidowanie przez Związek Radziecki podstawowego członu amerykańskiej triady, wystrzelianych z ładów ICBM-ów, otwierałoby przed przywódcami tego państwa nieograniczone możliwości prowadzenia wobec USA polityki szantażu. Coż bowiem z tego, że prezydent Stanów Zjednoczonych miałby jeszcze wówczas do dyspozycji niezniszczone SLBM-y? Ich użycie przeciwko radzieckim miastom musiałoby przecież spowodować na amerykańskie metropo-

lie totalną katastrofę!

Jeśli natomiast chodzi o lotnictwo strategiczne USA, to rzeczywiście, od niego w dużym stopniu zależy wiarygodność amerykańskiego odstraszania atomowego. A ściślej od tego, czy bombowce B-52 z ładunkiem nuklearnym na pokładzie zdolają wystartować ze swoich baz, zanim osiągną je radzieckie rakiety, a następnie sforsować obronę przeciwlotniczą ZSRR. Stany Zjednoczone mają niewątpliwie znaczną przewagę nad Związkiem Radzieckim pod względem strategicznych sił lotniczych. Wszelako podobnie jak w przypadku rakiet międzykontynentalnych liczbowa porównania są nadzwyczaj mylące. Amerykański bombowiec zanim zrzuca ładunek atomowy na radzieckie miasta ma bowiem do pokonania najlepszy system obrony przeciwlotniczej na świecie. Niestety, na Zachodzie dość powszechnie, nawet w kołach rządowych, powątpiewa się w to, że B-52 zdolna przeniknąć przez gęstą siatkę radzieckiej defensywy powietrznej.

Z kolei, czy amerykańskie bombowce strategiczne są w stanie wylecieć w porę ze swoich baz i w ten sposób uniknąć radzieckiego ataku? Czas opuszczenia bazy lotniczej /base-escape/ jest jednym z najważniejszych parametrów samolotu przenoszącego na swoim pokładzie bomby atomowe. Parametr ten jest określony sumą czasu przelotu rakiety SIBL wystrzelonej z okrętu podwodnego i czasu, jaki upłynie od chwili ostrzeżenia przed atakiem do momentu zwolnienia hałmów i wystartowania bombowca. W przypadku amerykańskich strategicznych samolotów B-52, czas ich ucieczki z bazy wynosi od 120 do 290 sekund. Roger Speed z kalifornijskiego instytutu Hoovera twierdzi, iż gdyby Rosjanie wystrzelili ze swoich okrętów podwodnych około 180-225 głowic SIBL, latających po obniżonej trajektorii, wówczas większość bombowców stacjonujących w 45 bazach lot-

nictwa strategicznego miałoby niewielkie szanse przetrwania ataku, nawet gdyby wszystkie maszyny postawione były w stan ostrego pogotowia.

Okazuje się więc, że amerykańskie bombowce, które stanowią jeden z filarów nuklearnej triady USA, mają praktycznie bardzo małe szanse ucieczki z lotnisk przed rakietami SIBL. Prawdopodobieństwo tego, że uda im się pokonać radziecką obronę przeciwlotniczą jest również niewielkie.

Podsumujmy krótko: Stany Zjednoczone nie są przygotowane na ubiegający atak radziecki. Gdyby bowiem Rosjanie pierwsi zaatakowali, zniszczyliby niemal wszystkie amerykańskie ICBM-y, a z baz lotniczych zdolaliby na czas przed radzieckim uderzeniem wystartować nie więcej niż 60 samolotów B-52. Co trzeci bombowiec z tej liczby zostałby później stracony przez radziecką defensywę. Amerykanom zostałoby również około 2000 głowic SIBL, oczywiście pod warunkiem, że te okręty podwodne, które wypłynęły na patrol, uniknęłyby zniszczenia. Prezydent Stanów Zjednoczonych mając do dyspozycji tak niewielką ilość broni nie mógłby nawet marzyć o użyciu jej przeciwko radzieckim instalacjom wojskowym. Rosjanom nie wyrządziłby nią praktycznie żadnych poważnych szkód, natomiast doszczętnie rozbroiłby tym atakiem Amerykę. Prezydent byłby zaś szaleńcem, gdyby za pomocą mizernych szczątków powierzonego mu arsenału, chciał szukać odwetu na radzieckich miastach. W ten sposób tylko przypieczętowałby los cywilnej ludności swego kraju.

7. "GWARANTOWANE ZNISZCZENIE" - SALOBÓJSTWEM ZACHODU

Książka Keith Payne'a, którą starałem się możliwie dokładnie zrelacjonować Czytelnikowi jest najlepszą, jak dotąd, syntezą poglądów tych zachodnich strategów, którzy od wielu lat wyłamują się z ortodoksji dok-

tryny "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia". Postulują oni z uporem, by Stany Zjednoczone, odrzucając teorię MAD, przygotowały się do prowadzenia i przetrwania wojny atomowej ze Związkiem Radzieckim. W praktyce oznacza to, że Amerykanie powinni wyceLOWać swoje minutowe nie w radzieckie miasta, lecz w radzieckie wyrzutnie rakiet i bunkry dowodzenia, natomiast, jeżeli sami chcieliby myśleć o przeżyciu wojny, wówczas jak najprędzej powinni oni sobie przypomnieć, do czego służy obrona. Payne nazywa powyższą koncepcję strategią klasyczną. Zauważa on jednak ironicznie, że ów powrót do "klasycznej" doktryny, zbliżyłby ją niewątpliwie do pogardzanej na Zachodzie "prymitywnej" strategii radzieckiej. Doszłoby więc, owszem, do przewidywanej przez Romana Kolkowicza konwergencji. Z jednym wszelako zastrzeżeniem. Otóż, to amerykańscy, a nie radzieccy strategowie, musieliby najpierw poznać "prawdziwy świat nuklearnych broni strategicznych".

Lektura książki Payne'a jest dobrą okazją do tego, by postawić pytanie, dlaczego Stany Zjednoczone związały swoje bezpieczeństwo z tak "historycznie zdumiewającą" doktryną /w ten sposób o strategii "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia" mówił Kissinger/. Przecież MAD nie odpowiada potrzebom Stanów Zjednoczonych i to zarówno ze względu na rodzaj zobowiązań sojuszników tego kraju, rewolucyjną politykę Związku Radzieckiego, jak również ze względu na radziecką strategię wojskową, która postuluje nie odstraszanie wroga, lecz jego likwidację. Dlaczego więc przez wiele lat Stany Zjednoczone trwały w samobójczym amoku, w obłądnie "gwarantowanego zniszczenia"?

Zacznijmy od przypomnienia, że teoria MAD została opracowana tuż po drugiej wojnie światowej. Niemal nazajutrz po zakończeniu operacji wojennych, Stany Zjednoczone przystąpiły do demobilizacji swojej armii. W ciągu zaledwie jednego roku, jaki upłynął od pokonania Rze-

szy Niemieckiej, stan amerykańskich sił zbrojnych zmniejszył się z 12,3 mln żołnierzy do zaledwie 3 milionów. Dwa lata później zostało już niespełna dwa miliony. Tymczasem coraz bardziej wyraźne stawały się rysy, w wojennym przymierzu Ameryki ze Związkiem Radzieckim. Rozpoczęła się "zimna wojna", według słów F. Meyera "nie dający się powstrzymać konflikt, który trwa do dziś i który jest w istocie "Trzecią Wojną Światową" /James Burnham/. Lecz demokratyczne systemy zachodnie są, jak wiadomo ze swej natury nie przygotowane do prowadzenia przewlekłej walki z komunizmem. Z tego powodu Amerykanie uważają na przykład, że wojsko jest im jedynie sporadycznie potrzebne i służy wyłącznie do tego, aby zlikwidować zdarzające się od czasu do czasu zagrożenia ze strony wrogich mocarstw. Amerykańscy podatnicy nigdy więc nie zgodzą się na utrzymywanie dużych sił zbrojnych na stałe. Klasycznym przykładem owej niechęci jest casus wojny w Korei. W ciągu kilku lat jej trwania, budżet wojskowy USA utrzymywał się na astronomicznym, jak na amerykańskie warunki, poziomie 13,8% produktu narodowego brutto/GNP/. Podkreślam, jak na amerykańskie warunki - bowiem radzieckie nakłady na zbrojenia np. w 70-tych latach nigdy nie były mniejsze niż 14,5%. Skróćce jednak prezydent Eisenhower został zmuszony do ograniczenia całego budżetu i w związku z tym, również w jego militarnej części. Jednakże zdawał on sobie sprawę z tego, iż zmniejszenie już wcześniej armii, a obecnie znaczne uszczuplenie funduszy na cele wojskowe stwarzają poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. W takiej sytuacji, w zimie 1954 roku sekretarz obrony Eisenhowera ogłosił doktrynę "zasowanego odwetu". Ową doktrynę stanowi pierwszy w historii przypadek całkowitego oparcia bezpieczeństwa na jednym rodzaju broni. Sam prezydent, broniąc swojej decyzji, wystąpił z tezą,

iz dzięki bombie atomowej Amerykanie uwolnili się od strachu przed radzieckim atakiem, zaś sama "wojna nuklearna jest rzeczczą nie do pomyślenia". Tą ostatnią konstatację można uznać za credo wszystkich administracji waszyngtońskich od Eisenhowera do Cartera. William Schlam, jeden z założycieli dwutygodnika "National Review" powiedział kiedyś, że jest ono logicznie-bezsensowne, moralnie nie dające się obronić, politycznie - samobójcze.

Na początku lat 60-tych Stany Zjednoczone odeszły od koncepcji "zmasowanego uderzenia" i przyjęły na jej miejsce doktrynę "wzajemnego gwarantowanego zniszczenia". W tym właśnie okresie na nowo podjęto próbę rozwiązania dylematu zachowania przez USA pierwszej pozycji w świecie bez konieczności utrzymywania dużej i stałej armii. Zajął się tym ówczesny sekretarz obrony Robert McNamara wcześniej rzutki businessman. Za jego inspiracją na politykę zbrojeniową kraju zaczęto patrzeć w Pentagonie przez pryzmat analizy systemowej. Te same kryteria, które dotąd określały np. politykę inwestycyjną firmy, odtąd zaczęły mieć decydujący wpływ na to, jakie rodzaje broni wprowadzano na wyposażenie amerykańskich sił zbrojnych. Jeżeli do tej pory w wojsku kierowano się strategią, to teraz jej miejsce zajęła ekonomia.

Wiąże się to z kolei bezpośrednio z innym zjawiskiem charakterystycznym nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, lecz dla demokracji w ogóle. Mianowicie, naturalną skłonnością systemów demokratycznych jest ich nieufność wobec wojska. Bojąc się go, demokracje powierzają cywilom szereg stanowisk, które gdzie indziej są tradycyjnie zarezerwowane dla zawodowych wojskowych. Natomiast jest rzeczą naturalną, że o ile wszyscy generałowie pod każdą szerokością geograficzną interesują się wyłącznie technicznymi parametrami broni, decydującymi o jej przydatności, to cywile

są bardziej skłonni oglądać się na kieszeń podatnika.

Nie zapominajmy również, że amerykańską teorię strategiczną stworzyła grupa cywilnych naukowców /zresztą, przeważnie o pacyfistyczno-liberalnych przekonaniach/. Podobna sytuacja byłaby nie do pomyślenia w Związku Radzieckim, gdzie o wojsku i jego strategii decydują wyłącznie zawodowi wojskowi. Cywili specjaliści w najlepszym razie pełnią role doradcze. Dobrze znany jest przypadek, gdy radziecki generał, podczas rozmów SALT, zabronił swojemu amerykańskiemu partnerowi poruszać ściśle technicznych szczegółów dotyczących radzieckiego uzbrojenia. Powodem jego niezwyklego zachowania była obecność przy konferencyjnym stole cywilnego doradcy radzieckiego.

Podsumujmy: amerykańska doktryna strategiczna jest wspólnym dziełem naukowców i buchalterów. Zawodowy żołnierz nie miał nic do powiedzenia. Bez obawy popełnienia błędu, można również przyjąć, że wspólnym światopoglądem zarówno biegłych w rachunkach jak i uczonych ojców strategii wojskowej USA, był nowoczesny amerykański liberalizm. Tylko bowiem w jego duchowym klimacie mogła powstać teoria, pokładająca taką bezkrytyczną ufność w racjonalność ludzkich działań i traktująca przeciwnika Amerykanów w taki sam sposób, jak ich samych. Teoria, przy pomocy której nie można zrozumieć, że wróg potrafi być do tego stopnia ogarnięty zlen, iż nie cofnie się on przed niczym, byleby tylko panować nad światem. Amerykański liberalizm jest zatem duchowym ojcem "gwarantowanych zniszczeń". Już zresztą Burnham pisał kiedyś, że jest on ideologią "samobójstwa Zachodu".

Keith Payne nie formułuje takiego wniosku w swojej książce. Jego praca jest nienal wyłącznie studium logiki współczesnej myśli strategicznej. Nie ma w tej książce rozważań o fenomenie powstania i o intelektualnych źródłach doktryny KAD. Pomimo tego, generalne przesła-

nie niewielkiego dziełka Payne'a
nie ulega wątpliwości: wojna
atomowa jest prawdopodobna w
nieodległej przyszłości, a w
związku z tym Stany Zjednoczo-
ne powinny się do niej przygo-
tować. Przeciwnikiem, z którym
przyjdzie się zmierzyć Ameryka-
nom będzie Związek Radziecki,
ideologiczne państwo zdecydowa-
ne z bolszewizować cały świat.
Oczywiście, nie na żadnych gwa-
rancji, że Stany Zjednoczone od-
niosą zwycięstwo w tym pojedyń-
ku. Lepiej jednak podjąć ryzyko, a
zatem i przygotować się do woj-
ny, niż - gdy zawiedzie nuklear-
ne odstraszenie - być skazanym
na wybór: poddać się, czy ude-
rzyć na radzieckie miasta, lub

inaczej: być czerwonym czy nar-
twym. Keith Payne mógłby więc
powtórzyć za Williamem F. Buckle-
y'em: "lepszą dla nas wojna i
ryzyko, że zginie my niż kapitu-
lacja i pewność, że będziemy
czerwoni. A jeśli zginie my? Cóż,
zginie my".

Ignacy Łoziński

Keith B. Payne - "Nuclear
Deterrence in U.S. - Soviet
Relations" /Odstraszanie nu-
klearne w stosunkach amerykan-
sko-radzieckich/. Z przedmową
Colina S. Gray'a, Westview Press
/A Westview Replica Edition/
Boulder, Colorado 1982.

Tak jak co dzień wstaje rano
Sciele łóżko i herbatę
Parzy sobie praworządną
Praworządnym optymizmem się ładuje
- praworządnym obywatel.

Sprawdzi potem w kalendarzu
czy to dzisiaj, czy łopatę
czy garnitur z wstążką krasną zabrać kałą
czy też z palą na warchoły?
- praworządnym obywatel.

A wieczorem po dniu znojnym
podniecony za przeguby chwyci Świata
praworządnie się rozeprze
w odległości praworządnej /3m/
- praworządnym obywatel.

Mile słowa praworządnie w uszy biegną
o dwóch światach, o tym biednym i bogatym
o rakietach złych i dobrych ...
aż z emocji na wypieki
- praworządnym obywatel.

Jeszcze żonę praworządnie on pokocha
przedtem pilnie zapoznawszy się z debatą
czy to drugie - praworządne
- czy nierządne
- praworządnym obywatel.

I zasypia w swym mieszkaniu praworządnym
snem spokojnym pozbawiony alternatyw
wytwór gazet praworządnie zakupionych
może Ty?
Nie, to on - praworządnym obywatel.

Dojrzałość i zdziwienie

Już wiele miesięcy minęło od 19 października 1984 roku, a wciąż słyszy się w formie zdziwienia: "Można było oczekiwać, że taki wstrząs skłoni władzę" itd. (warszawski Komitet w komunikacie założycielskim wyrażał to w formie nadziei: "można jednak oczekiwać" etc.

Oisz, nie można było i nie wolno było. Widocznie jest to trudne do zrozumienia, bo po upływie pół roku powtarza się stwierdzenia typu: "władze nie zauważają generalnego problemu tj. zasad funkcjonowania SB, a tylko ich zmiana mogłaby itd.", a TM nazywa fakt, że reżim przyznał polityczne racje Piotrowskiemu "paradoksem" (!). To prawda, słychać już i nieco inne głosy. Wszyscy jednak zgadzają się bodajże, iż była to jakaś, przeciw komuś prowokacja, żeśmy się "nie dali", że wyszliśmy umocnieni. Oburzenie i zdziwienie wywołuje fakt, że władza nie tylko wbrew tzw. przyrzeczeniom nie ukazała "inspiatorów" (czyli siebie), lecz zupełnie, ale to zupełnie, "nie opamiętała się". Samozadowolenie wobec naszej postawy w ciągu tamtych tygodni utrwaliło się powszechnie. Nawet ci, którzy przyznają, iż to reżim wzmocnił się na własnej zbrodni ograniczają się do konstatacji tego faktu. I dużo wciąż o "moralnej odpowiedzialności", "bezkarności" i "kampaniach nienawiści" (co ma wyjaśniać wiele). Tu i ówdzie wspomina się nadal o "próbie puczu wobec generała", z naciskiem mówi się o uniknięciu wojny domowej, a oskarżyciel posłkowy stwierdza, iż miał to być "cios wymierzony w państwo polskie" (?).

Wszystko to skłania, by mimo podwyżek, rocznic i świąt (oraz

nie tylko dlatego, iż sprawą tą nie możemy "zmęczyć się") przyjrzeć się naszej "podziw budzącej" wówczas postawie. Skłania tym bardziej, że chyba nikt nie stawia podstawowego pytania: co sprawiło, że od jesieni 1984 r. reżim może zachowywać się tak, jak się zachowuje. Przecież byliśmy i dojrzałi i zjednoczeni jak nigdy i podobno "nie wpadliśmy w pułapkę"...

Nie wpadanie zaczęło się od błyskawicznej i głębokiej diagnozy. Wydaje się, że była ona błędna i szkodliwa tj. - nie można było i nie wolno było nazywać tej niesłychanej zbrodni "prowokacją".

"Prowokacja" oczywiście w celu, by krwawe rozruchy co nieobliczalne itd. "Prowokacja" to walka o władzę, spiski, twardogłowi, czyli trzecia siła w działaniu. "Krwawe rozruchy", bo przecież jesteśmy wciąż tak niepokorni i bojowi, że to prawie konieczne. "Wszystkim od premiera zrobiono świństwo" - jest wspólna płaszczyzna z władzą wobec czegoś zgoła z zewnątrz. Rzekomo bystro osiągnięto następny stopień fałszywego widzenia rzeczywistości - celu mordu (musiał być "głębszy" i skomplikowany), przeciwnika (zawsze przecież jedynego), oraz własnej siły (rozładowywać napięcie, bo...). Taka postawa wręcz narzucała godną bierność i niezmiernie łatwą "wyłątkową dojrzałość". Później pozostało już tylko zachwycanie się nią jako trudno i bohatersko osiągniętą, a jakże właściwą. Ale nie tylko - przyczyniła się ona do zalewu wypowiedzi już groteskowo, żałośnie absurdalnych, o których zapominać nie wolno. I one, te "zwiększone możliwości dialogu", "szanse uwiarygodnienia się władz", "oczekiwanie z odwagą ale i z odwagą na pełne wyjaśnienie, które

dopiero umożliwi itd., itd." należa do historii tamtych dni.

Ks. Jerzy nie żył, a tu cieszą się, że "prowokacja się nie udała". Odcinając się od prób protestów, nawet w zakładach ("gdzie nasza siła") mówiono jednocześnie z dość dziwną logiką, że "nie daliśmy się zastraszyć".

Wszystko to powodowało pewne zdziwienie bystrzejszych obserwatorów zagranicznych. Ci, z których latami wyśmiewaliśmy się, bo naiwni i lekkimi, potrafili czasem lapidarnie nazwać sytuację: "Cała Polska boi się prawdy", "Opozycja jest całkowicie zagubiona". Później doszli oni do równie skusznego wniosku: "I czyż zbrodnia nie popłaca?".

Bo to była zbrodnia tak niesłychana, że każde nienormalizujące się społeczeństwo winno masowo na nią zareagować. Zareagować by dać wyraz swego oburzenia i protestu, a nie po to by coś wygrać, postulaty wysuwać czy "robić rewolucję". W takich momentach nie mówi się oszancach, trampkach i dojrzałości. Zresztą twierdzenia, że np. milczącemu pochodowi z czarnymi flagami zgutowanyby krwawe jatki można między bajki włożyć. Nie znaczy to wcale, że gdyby tych twierdzeń nie było nastąpiłby jakikolwiek "wybuch". Nie jesteśmy bowiem wcale tak wspańiali i odważni. Taki a nie inny stan społeczeństwa, którego na prawdziwą reakcję po prostu nie stać był doskonale znany służbom policyjnym czyli reżimowi. "Prowokacja by wywołać", z braku podstawowego elementu składowego, była więc po prostu niemożliwa. Więcej - "pełne dojrzałości zachowanie" było niezwykle, wręcz dziecinnie łatwe do przewidzenia, choć twierdzono, że reakcja owa była trudna, przemyślana, tudzież "odważna". Co prawda nawet lokalne, ale publiczne protesty byłyby dla reżimu przykre i kłopotliwe, ale tu z kolei mógł on liczyć na czołowe autorytety duchowe i świeckie. Ich reakcje oraz ton i treść apeli też były z góry wiadome i oczywiste. "Jeśli nie będzie demonstracji to rząd wzmoce się" mówił wówczas Łopatka włoskiemu dziennikarzowi. I rzeczywiście. Reżim nie zawiódł się - jeszcze raz wykazaliśmy "niezwykłą dojrzałość" czyli zachowaliśmy

się zgodnie z przypuszczeniami (a nie wbrew nim).

Tak więc zamordowana naprawdę niezastąpionego człowieka i ostatecznie sprawdzono stopień "dojrzałości" (czyli braku determinacji) przeciwnika. Stopień ten, jak S po Bydgoszczy, okazał się nader duży. "Prowokacja" może się więc rozszerzać aż do dzisiaj, bo skoro można pozwolić sobie na tak wiele, to czemu nie robić tego dalej. To właśnie owa "dojrzałość" spowodowała, iż Kiszczałak nie musiał z pięć razy tłumaczyć się w TV. to rozważne spekulacje w stylu zachodnich sowietologów, zamiast nazwania mordu mordem (w stylu litewskim) przyczyniły się do tego, iż stał się on początkiem a nie uwięzieniem ataku na Kościół. Dały władzom do myślenia "pełne wymowy moralne protesty" i "wyjątkowe pokazy jedności" jako reakcje jedyne, ale w sensie odwrotnym niż sądził B. Geremek. I dla nich były one "pełne", ale słabości przykrytej symbolizmem. Zaczęły więc jeszcze mniej liczyć się z uczuciami Polaków, być jeszcze bezczelniejsze i bardziej aroganckie. Ponadto, właśnie wtedy uznano, iż "wybory do Sejmu" mogą się już niebawem odbyć. Takiej reakcji reżimu dziwią się najbardziej ci, którzy "dojrzałością" zachwycali się najbardziej. Żadnych związków przyczynowych między jednym a drugim nie postrzegają. Dziwią się zwolennicy teorii frakcji, walk o władzę i rzekomego "państwa w państwie", dziwi się red. Suszycki z RWE, który najpierw sugerował by nie nie robić tylko myśleć, a potem by nie nie mówić tylko czuć, podkreślając przy tym "zmieniony nie do poznania" (pewno przez tę dojrzałość) "krajobraz polityczny Polski".

Były i są także inne teorie na temat "prowokacji", które też rzucają na ogólne postawy. Ta z puczem przeciw sekretarzowi - generałowi jest wręcz groteskowa, ale znów obserwator zachodni musiał za nas zauważyć rzecz oczywistą. Tę, iż zakres władzy i siła pozycji Jaruzelskiego, od lat ordynansa sowieckich generałów i od dekad człowieka Kremla, są bez precedensu

zarówno w obozie jak i w historii PRL. Spiski przeciw niemu nie mają ani sensu ani celu - wiedza o tym dobrze "twardogłowi", nawet gdy założymy, iż istnieją i znaczą cokolwiek. Tym niemniej szantażowi "są gorsi" oraz montowanym przeciekom, iż Jaruzelski nie panuje to nad wojewodami w Bydgoszczy, to nad ul. Rakowiecką, ulegamy przecież w takim czy innym stopniu już od lat. Jest to zresztą nam podrzucana fikcja, bo już szczególnie ta właśnie ekipa "władz" kontroluje i nadzoruje swój aparat przemocy oraz zleca mu (choć przecież nie literalnie) zadania.

Odważny oskarżyciel posiłkowy wysunął tezę o "obcym interesie". Jest to coś zupełnie różnego niż "obca inspiracja". Mówił też o próbie dezorientacji obu stron, wytworzenia spirali obustronnego terrorku, zatrucia kraju nienawiścią, a wszystko w celu "osłabienia państwa polskiego" (tj. PRL). Nietrudno zauważyć, iż jest to powrót do wysoce niefortunnej wypowiedzi L. Wałęsy, próba ustawienia "nas wszystkich" symbolizujących, jakoś, interesy tego państwa, po wspólnej stronie vis-a-vis "obcych" a ciemnych sił ("władza" jaśnieje przy nich). Władze miały być "zdezorientowane" przez morderców, których można było zidentyfikować w jeden dzień, ale "zdezorientować" się nie dały i wspólnie z nami, bohaterstwo rozsądnymi, zapobiegły nad wyraz realnym "spiralom", a kraju nienawiścią, tudzież nędzą i strachem zatruć nie dały.

Jest to więc wskrzeszenie starego hasła "jak Polak z komunistycznym Polakiem". Tylko, że "interes obcy" jest tożsamy z interesem władz, a nienawiścią (tj. komunizmem) jesteśmy zatruwani, dzień po dniu, od lat ponad 40-tu. Ów interes obcy - nieobcy polega zaś dzisiaj na normalizowaniu kraju. Normalizacja natomiast to cmentarny spokój, a nie "niepokoje" i chaos. Trudno w ogóle pojąć po co byliby owemu interesowi potrzebne "niepokoje" i co oznacza w tym kontekście chęć osłabienia PRL-u. Normalizację (a idzie tu ona całkiem dobrze) przyspiesza się przez zastraszenie. Polega ono m.in. na uciszaniu ludzi niewygodnych, co jest "lekcja"

dla innych (patrz "Izwiestia"). Jej celem jest nie prowokacyjnie wywołany kontrterror, lecz właśnie dojrzała bierna bezsilność. Akcje szczególnie brutalne podejmuje się więc wówczas, gdy liczy się na tą ostatnią reakcję czyli na brak nieprzewidzianych ich konsekwencji. "Zamieszanie wśród opozycji" polega wówczas (jeśli rachuby były słuszne) na prześciganiu się jej w "dojrzałości" i wmawianiu sobie wzajemnie czego to uniknęliśmy. Jest to dla przeciwnika potwierdzenie tego, iż szczególne bestialstwo i szczególna bezczelność nie powodują wzrostu prawdziwego (a nie symbolicznego) oporu, lecz przeciwnie - przesuwają coraz dalej granicę "wzywania do spokoju mimo wszystko". Przyczynia się to rzeczywiście do wzmocnienia "państwa polskiego" czyli zupełnie niezdezorientowanej władzy partii komunistycznej, czyli przybliża "normalizację". Wówczas zaś możliwe są dalsze mordy, kampanie i "akcje" nie będące wszakże "prowokacjami" lecz zbrodnictwem systemem w działaniu, zróżnicowanym w ramach jego potrzeb i kolejnych "zadań". Tak więc "prowokacja", choć wszyscy łącznie z TASS-em i sędz. Kujawą posługiwali się tym hasłem, nijak nam nie wychodzi, z orzekaniem czy bez orzekania.

Tak też wpada się w pułapkę przez bystre i rozważne jej nie uleganie. Pułapka ta zaś to przede wszystkim dalsza niechęć stanięcia twarzą w twarz, bez eufemizmów ("tolerowanie etc.") i szukania trzecich sił, z jedynym, prawdziwym, rządzącym wrogiem (tj. "władzami"), tak jedynie rzeczywistym jak socjalizm, który istnieje.

Przejawem "zamieszania" jest też niedostrzeganie mechanizmów starych komunistycznych metod czyli np. powszechne zdziwienie czemu reżim atakuje Kościół i czemu czyni to akurat teraz. Atakuje, bo jest to jego stara metoda - "normalizowania" po kolei środowisk, grup i instytucji. Atakuje, bo uznał, jak wykazano wyżej, że już można. Atakuje także dlatego, iż hierarchowie nie bronili ruchu społecznego sprzeciwu nie dos-

trzegając, iż stanowi on dla Kościoła ochronę (a nie zagrożenie). Pierwsze ciosy spadły na tych, którzy będąc blisko z ludem swoim, ruchu tego bronili. Ponieważ jednak nawet ich nie wzięła dostatecznie (tj. publicznie i głośno) w obronę hierarchia, rozpoczął się atak zmasowany. Ponieważ zaś prymas Glemp nadal bagatelizuje sytuację (jeszcze rok temu pojęcie ksiądz - ekstremista brzmiało groteskowo, dziś jest w stałym użyciu propagandy i nikogo nie razi), delikatnie i ostrożnie reagując na niesłychane wyczyny reżimu, będzie coraz gorzej i pod tym względem. A przecież nie żyjemy w czasach stalinowskich i n o n p o s s u m i s można było i należało było powiedzieć już wielokrotnie. Następną pułapką jest dalsze uprawianie własnego kultu i stałe podkreślanie różnych polskich "bez precedensu". Tak więc nawet głosy, iż "wyszliśmy wzmocnieni" są zwodnicze. Jest pewna granica psychicznej wytrzymałości ludzkiej - szczególnie bestialstwo i to ujawnione bez żenady powoduje chęć zapomnienia i nie rozpamiętywania - po to też był szum informacyjny - propagandowy "bezprecedensowego procesu". Stanu tego nie należy mylić z pięknym i bardzo polskim masowym oddawaniem hołdu bohaterowi. Powoduje on jednak zagubienie istoty rzeczy, tj. faktu jak reżim mógł bezkarnie popełnić tak monstrualną zbrodnię. Również antykościelne wycie propagandy jest już za dzikie i za głośne - powszechność reakcji oburzenia musi być przez to przytępiona. Trzeba też bez skrępowania dodać, iż również księża są ludźmi i trudno liczyć by zdobywali się na masowe bohaterstwo, tym bardziej, iż dochodzi tu postawa (a zapewne i zlecenia) Prymasa i większości hierarchii. Przecież nawet w warszawskiej Częstochowie, w sanktuarium narodowym, jakim stał się żoliborski kościół nikt nie zastąpił ks. Jerzego. Nie rozlegają się tam już słowa będące połączeniem nauki o chrześcijańskich imponderabilach z chrześcijańską reakcją na konkretne, bezprawne, zbrodnicze

posunięcia reżimu wobec konkretnych ludzi i środowisk, a przecież jest ich z miesiąca na miesiąc coraz więcej. Ks. Jerzy był niezastąpiony, bo żył codziennym życiem narodu, czuł je, rozumiał i orientował się w tym, co ludzi spotyka i boli nie tylko w ogólnie-abstrakcyjnym wymiarze. Mordercy i ich zleceńodawcy (czyli po prostu reżim) doskonale "wiedzieli co czynią".

Kolejny wniosek, który się nie sprawdził, to pocieszanie się, że oto podważono bezkarność SB, które teraz etc. - no bo proces, wyrok, przestroga. Wyrok był z pewnością zgodny z naszym ogólnie głęboko humanitarnym podejściem, tym każącym krzyknąć "przebaczamy" wobec butnych i nieskruszonych zbrodniarzy, ale na pewno nie był "przestrógą" (co właśnie obserwujemy).

Bo skoro za taką zbrodnię, w takim świetle i tak dokonaną, można oczekiwać, iż rychło (wiadomo jak długo i w jakich warunkach odosobniony był Różański) będzie się znów wychowywać dzieci na prawdziwych polskich komunistów, to jasne się staje, że gdzieś na prowincji wobec dziełnego lecz "bez nazwiska" człowieka można sobie pozwolić na wszystko. Zwłaszcza gdy uniknie się "wypadków przy pracy". Poza tym, już prawie nic nie robi wrażenia, a sam reżim ("ekipa"), po naszym stwierdzeniu, że "nie panuje nad etc." ma doprawdy rękę wolną. Już nie warto wspominać szerzej o objawach innych, jak np. "dawanie szansy" Sądowi Najwyższemu (mec. Siła-Nowicki, który w USA energicznie broni dobrego imienia PRL, pokładał w tej instytucji dużą wiarę), podkreślanie stałych, rzekomych "niekonsekwencji" i błędów reżimu tak "widocznych" w zderzeniu ze wspomnianym już samouwielbieniem itd. Dochodzi do tego bezustanna defensywność i dawanie wiary ordynarnie oczywistym w swej fikcyjności posunięciom wroga - we wszystkim. Długoć miesiące wierzone w możliwość legalnego "pluralizmu związkowego" ("bo ustawa"), a w ciągu trzech dni oszukiwanego manewru podwyżkowego TH zdążył

nie tylko ogłosić kolejne "zwycięstwo" lecz stwierdzić, iż "teraz jest czas byśmy wykazali dobrą wolę". Cę ostatnia, wraz z niezmierną dojrzałością, wykazujemy bezustannie. Połączona jest zaś ona zawsze z niezym nie znaczącym optymizmem (bojket kolejnych "wytyrów" to prostu musi być przez Holenderski).

Był może obraz powyższy jest zbyt szary, był może takim tekst ten nie ukazałby się spektakularne demonstracje majowa, a codzienna bez miłości wywołała emocje protestu polityczny. Był może, choć nie całkiem, w każdym przypadku jednak nadzwyczaj politycznie bywa krytyczna i ostróżnie zarówna na świecie, jak i na tym polu politycznym. Aby sprawić sobie więcej, optymizmu i bezwzględności (coż wiaćnie - komunistycznym) przeciwników trzeba walczyć, walcząc z samozachowaniem się. Wskazywać i pisać "zwycięstwa" nie jest moralnie nie poprawne.

Warto też zawsze pamiętać, że często głoszone przez K.O. Jarzemo słowa o porzuceniu dyktando, w rzeczywistości, w rzeczywistości i prywatnie. Jest takowaśń, zwracając, że w naszym kraju wciąż wciąż i rozmiary naszego nieszczęścia i błąd, nie należy jednak raczej, poprzez tego całkowicie przyglądać, choćby ten relatywizować lub zniekształcać przez dyktando, jak

z bezmyślną brawurą. Roztropność - bardzo pięknie, ale nie wyłącznie ona. "Uleganie emocjom" bynajmniej nie jest równoznaczne z całkowitym brakiem rozważań, natomiast jest czasem niezbędne. Jeśli zaś stara się te naturalne emocje (czyli uczucia) tłumaczyć, zawsze i wszędzie, to zwiększającej się zbrodniczości komunistycznego systemu raczej dziwić się nie należy.

Kwiecień 1985 r.

P.S. Niezmierną aktualność wywołującej problematyki podjęła, w dniu 1. Wąskowy (23.III.1985r.) :

1. Wyłączy o krok od zamętu. Nasza postawa walczenia przeciwko (samozachowaniu).
2. Przeciwnie wieloletnie dawaliśmy wyraz swej dobrej woli ... apelowaliśmy o odwołanie cenzury... (dojrzałość).
3. Tyle razy apelowaliśmy o wzajemny dialog, o porozumienie, a tu frontalny atak. Dlaczego? I czemu akurat teraz? (zuziwienie).

M.K.

ROZDZIAŁ CZWARTEK POLSKIEGO

Ustalenie naszej się nowe pozycje Wydawnictwa Polskiego: "Kto prosi ruskiej" - zbiór zwołań ze stałe zwołanego zwołania. str. 36. Pozycja zawiera 300 zwołań zwołanych tematycznie w 4 rozdziały.

Coż ty, nasz się:

- znaczki pocztowe 400 -
- bloczek poświęcony Karłowiczowi i Górcowi i Górcowi i Górcowi
- w 50 rocznicę śmierci,
- bloczek poświęcony rocznicy zwołania zwołania,
- bloczek oraz 4 znaczki poświęcone 40 rocznicy i 40, oraz
- i poprzez Konfederacji Polski Niepodległej.

4. Podstawą powszechnego ustroju demokratycznego są niezbywalne prawa człowieka i obywatela, wzajemna tolerancja, oraz poszanowanie praw innych ludzi. Powszechny ustrój demokratyczny wyraża się w formowaniu władz państwowych wyłącznie w oparciu o społeczny mandat zaufania, oraz w działaniu tych władz w nieprzekraczalnych granicach danego mandatu i tak dłużej, jak długo mają zaufanie społeczne.
 5. Konieczne zapewnienie sprawiedliwości społecznej i faktycznej równości wszystkich obywateli wymaga współuczestnictwa pracujących w zarządzaniu gospodarką narodową i współkontroli społecznej własności, przy uznaniu interwencyjno - koordynacyjnej funkcji państwa.
 6. Warunkiem należytego funkcjonowania Rzeczypospolitej, pomyślności jej społeczeństwa i poszczególnych obywateli jest wypełnianie równych dla wszystkich obowiązków:
innych ludzi, wobec społeczeństwa i narodu, wobec naszych braci z narodów, z którymi złączyła nas historia i wspólny byt na tej samej ziemi, wobec Rzeczypospolitej i wobec ludzkości. Poczucie obowiązku wyraża się w postawie służby przyświecającym nam szczytnym ideałom i Ojczyźnie, zaś postawa służby kształtuje ofiarność i gotowość do poświęceń.
 7. Ukształtowana historycznie wspólnota narodowa, łącząca przeszłe, teraźniejsze i przyszłe pokolenia Polaków, uwielokrotnia siły społeczne, zaś w jej ramach spełniane są aspiracje poszczególnych ludzi i całych zbiorowości.
 8. Polska świadomość narodowa ukształtowała się w ponad tysiącletnim procesie rozwoju społeczeństwa i państwa, którym w dobrych i złych dniach towarzyszyła obecność Kościoła Katolickiego. Nieusuwalnymi wartościami tej świadomości są:
- poczucie, że państwo jest wspólną własnością - Rzeczą Rzeczą ogółu obywateli,
- zrozumienie potrzeby ofiarności narodowej w imię celów wyższych i wspólnych wszystkim Polakom,
- przywiązanie do świata wartości stworzonego przez katolicyzm i do zasad moralności chrześcijańskiej.
 9. Z naszej przeszłości oraz tradycji narodowej wynika poczucie współodpowiedzialności za wolność i pomyślność bratnich narodów, z którymi złączyła nas historia, a które mają własne prawo samostanowienia o swoim losie.
 10. Honor narodu i Rzeczypospolitej stanowi wspólną wartość, jest wspólnym obowiązkiem wszystkich obywateli.
 11. Rzeczypospolita, stanowiąca wspólną własność i potrzebę ogółu obywateli, może tylko do nich należeć i działając w ich interesie, świadczyć na rzecz ludzkości.
- Działania Konfederacji Polski Niepodległej, wchodzących w jej skład Grup Skonfederowanych, oraz wszystkich członków KPN oparte są o powyższe zasady kardynalne.
- Konfederacja otwarta jest dla wszystkich, którzy te zasady uznają. Każda z Grup Skonfederowanych określa we własnym programie kwestie szczegółowe.
- Zawiązując Konfederację Polski Niepodległej wzywamy wszystkich Polaków w kraju i na obczyźnie, aby łączyli się we wspólnych działaniach na rzecz w o l n o ś c i i n i e p o d l e g ł o ś c i .

DROGA

Biuro Konfederacji Polski Niepodległej

UKAZUJE SIĘ OD 1978 r.

Redaguje zespół. Przedruk dozwolony z podaniem źródła. Artykułów zamówionych Redakcja nie zwraca. Zastrzegamy możliwość dokonywania skrótów w nadesłanych tekstach. Korespondencję prosimy kierować kanałami kolportażowymi.

W NUMERZE

GENEZA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO - Kazimierz Pluta-Czachowski . str. 3

JAKA PRZYSZŁOŚĆ ? - Fragmenty wypowiedzi jednego z przywódców KPN. str. 6

REPRESJE - Listy więzionych w areszcie na Mokotowie str. 12

KRONKA CHLEBA - Kazanie ks. J. Umińskiego str. 16

STRATEGIA ZWYCIĘSTWA CZY STRATEGIA KAPITULACJI? - Ignacy Łozinski str. 19

DOJRZAŁOŚĆ I ZDZIWIENIE - Maciej Karwowski str. 46

Nowe pozycje Wydawnictwa Polskiego str. 50

Podziękowania i potwierdzenia:

Pawłowi z Łodzi za 500 matryc offsetowych formatu A3

Łolkowi - 2000

Ekonomista - papier

Grubemu za 10.550 zł

Sabie za papier

M.J. - Działek - za pomoc

MM - za pomoc

Apelujemy do Lublina o dotrzymanie zobowiązań

Ściągamy za 100 dolarów USA

Oleńka i Marek za pomoc

PKS III - 2 tysiące

Gdyby Polak chciał oświadczyć i świętować wszystkie rocznice historyczne i narodowe, rok polski składałby się tylko z obchodów świąt, manifestacji składania kwiatów i innych tego rodzaju okoliczności. Warunki geopolityczne naszego kraju spowodowały bowiem to, że wiele mamy okazji do bolesnych wspomnień, więcej niż inne władające spokojne tutejsze narody. Dlatego nie należy się dziwić, że wśród takiej mnogości takich wydarzeń, sięga rzeczy musi następować pewna selekcja obchodzonych dni "ku ości". Zresumowane jest również, że ludzie, którzy nie zrozumieeli jeszcze dotąd sensu idei wielkiego burzyciela ładu i porządku świata zastanego, Karola Marksa, nie chcą świętować jakiś internacjonalistycznych odpustów, lecz z uporem wracają do momentów, gdy budziły się nadzieje "kontrrewolucjonistów" na wyzwolenie na przywrócenie dawnych pojęć i zwyczajów. Taką okazję dają nam również rocznice czerwce, Poznań, Radom, Ursus. Marszenia o wolności-bunt, a potem oderwanie z brutalną prawdą, krew, trupy na ulicach... Nas jeszcze pogrąża ta nadzieja. Wiadomo jednak, że co jakiś czas powracać będzie z nową siłą nadzieja, że co jakiś czas rozpaczeni ludzie, nie pomni na ofiarę i cenę będą usiłovali walczyć o swe prawa. I to właśnie jest tematem tego eseju, uwag na marginesie. Nie fakty, nie wspomnienia o poznańskim, ursuskim czy radomskim czerwcu bo tych zapewne ukaże się w prasie podziemnej bez liku, lecz tylko pewne uwagi, takie "trzy krosze" kobiety, której "DROGA" dała możliwość wypowiedzenia się. Otóż przyznam, że bardzo denerwuje mnie nasz stosunek do takich rocznic jak te czerwcowe. Wątam, że nie bardzo mamy prawo do ciągłego powoływania się na takie wydarzenia, ponieważ jako społeczeństwo robimy bardzo niewiele aby móc nazywać się kontynuatorami, bo my nie tego nie kontynuujemy a tylko żyjemy od zrywu do zrywu, w przerwach natomiast jest pustka i milcząca zgoda, przynajmniej formalna na istniejący stan rzeczy. Wnętrze przeciętnego Polaka, to co on na prawdę myśli - często myśli niewiele, nie w praktyce nie daje, nie ma żadnego znaczenia. Bo sam fakt, że większość społeczeństwa jest przeciwna obecnemu systemowi, nie znaczy jeszcze wcale, że większość społeczeństwa z tym systemem walczy. Przeciwnie walczy mniejszość a większość go popiera. To wcale nie żgarstwo. To są fakty. Przecież popieraniem systemu komunistycznego jest oportunistyczne myślenie, ambiwalentny stosunek do opozycji, wszelkiego typu kolaboracja i obojętne rospijanie się/bo trudno w oparach alkoholu myśleć i walczyć o cokolwiek, wtedy można myśleć o przysłowiowej dupie maryni i o tym jak rano wyleczyć kaca. To jest zresztą zgodne z życzeniami komunistów. Pijany naród, to głupi naród, który można prowadzić dowolnie/Zawsze zastanawiało mnie dlaczego tak łatwo dajemy wyprowadzać się na ulice, dlaczego tak chętnie oddajemy życie, często z zupełnie błahych powodów - tak jakby ono nie miało dla nas żadnego znaczenia. Jednocześnie tak bardzo nam trudno zdobyć się na cierpliwość i upór w sprawach istotnych dla życia narodu-ważnych, i wtedy dopiero zastanawiamy się argumentami typu-życie ma każdy jedno, każdy ma prawo żyć, biologiczna tkanka narodu itp. Zupełnie jakby wszystkim nagle wydało się, że aby zdobyć wolność, wystarczy tylko chcieć a reszta przysjdzie sama. Albo, że załatwią to inni. Nie załatwią tego żaden inni. To możemy załatwić tylko my sami, a nam się po prostu nie chce. Nie chce nam się myśleć i nie chce nam się walczyć. Liczymy na Papieża, liczymy na to, że ZSRR sam się rozpadnie, liczymy na jakąś opozycję, bo oni muszą-a my poczekamy. Myślimy sobie tak- wy żyćcie godnie a my wygodnie. Tymczasem walka z tak potężnym przeciwnikiem, jakim jest system totalitarny to ciężka, kosekwentna i uparta robota, pozbawiona romantycznych akcesoriów/bo nawet tak ulubione przez Polaków powstanie zbrojne jest nierealną mrzonką ze względu na brak broni, armii podziemnej a gdyby nawet to i tak przeciwnik zbyt silny./ Walka z systemem totalitarnym - to nie walka zbrojna - jest ona znacznie trudniejsza, bo wymaga samodzielnego

myślenia, inteligencji i oczywiście rzeczy najważniejszej - konsekwencji. A tej nam brak najbardziej. Gdybyśmy mieli prawo nazywania się kontynuatorami czerwca 1956, 1976 to byśmy już dziś nie występowali z żądaniami socjalnymi a tylko i wyłącznie z politycznymi. Tamte dni byłyby dla nas czymś w rodzaju prologu, pewnym etapem w naszej walce. A my wszystko ciągle zaczynamy od początku. Od nowa. Zupełnie jak komuniści. Dlaczego tak brutalnie o tym mówię? Otóż dlatego, że tamte wydarzenia czerwcowe związane były bezpośrednio ze sprawami socjalnymi, ekonomicznymi. W 1956 roku robotnicy poznający rozpoczęli swą walkę z powodu niesłusznego potrącania przez trzy lata podatku lepiej zarabiającym przodownikom pracy, robotnikom akordowym, co pozbawiło 5074 pracowników 11 mln złotych. W roku 1976 robotnicy Radomia i Ursusa zaprotestowali przeciw podwyżkom cen wędlin niższego sortu. Taki był początek. Oczywiście, potem doszły i inne żądania. Ale punktem wyjścia były przełomne sprawy bytowe. I nie ma nic w tym złego. Każdy ma prawo walczyć o swą egzystencję. Ale od tamtych dni minęły już lata i czas najwyższy wyrwać się z tego narzuconego nam kręgu "apolityczności" robotników. Dopiero gdy to osiągniemy, będziemy mieli pełne prawo powiedzieć, że jesteśmy kontynuatorami, że wyciągnęliśmy jakieś wnioski. Trudność polega na tym, by ludzie zrozumieli, że bytu jest nierozdzielnie związana z wolnością i niepodległością. Jest zasadniczym błędem stawianie tylko na sprawy socjalne. Jest to po prostu pertraktowanie z katem na temat długości stryczka. Ciągle jeszcze zbyt mało ludzi to rozumie. W kształtowaniu świadomości naszych rodaków ma niewątpliwą zasługę Konfederacja Polski Niepodległej, która od początku swego istnienia jasno stawiała sprawę - walka z systemem komunistycznym, walka o niepodległość, a sprawy ekonomiczne należy załatwiać po drodze. Dlatego konfederaci i ludzie podobnie myślący mają prawo nazywać się kontynuatorami walki. Po prostu weszli już o jeden stopień wyżej. Dotychczasowe bunt robotnicze łącznie z "Solidarnością" wykazują, że w narodzie uśpione zostały naturalne mechanizmy obronne. Często te działania przypominają reakcję psa łańcuchowego - gryzie łańcuch a łasi się do gospodarza, który mu łańcuch zakłada. Omyłność takiej reakcji wynika albo z braku umiejętności rozróżniania prawdziwego zagrożenia, albo z podatności na komunistyczną propagandę. Wolno wam ewentualnie walczyć o podwyżki ale nie wolno wam myśleć o polityce. W takiej sytuacji jednym z głównych zadań opozycji - a przynajmniej niepodległościowej - powinno być jasne precyzyjne określenie wroga. W trakcie rozmów, szkoleń, przy okazji spotkań - należy ludziom ustawicznie to definiować i tłumaczyć - wrogiem naszym jest ZSRR, PZPR i wszystkie jej podległe organizacje. Wrogiem jest rząd i wszyscy ci którzy mu służą. Argumenty w rodzaju "A ja znam jednego przyzwoitego partyjnego..." należy zdecydowanie odrzucać i wyjaśniać, że nikt, kto jest przyzwoitym człowiekiem nie może być członkiem tej partii. Więcej odwagi w myśleniu, mniej pomników a więcej działania. Jestem matką dorosłego syna i drżę na myśl, że któregoś dnia może zginąć walcząc o kawałek wędliny. Składam hołd poległym robotnikom. Walczyli dzielnie. My nie możemy czekać na zrywy podyktowane rozpaczą. Niepodległości należy się uczyć i najpierw hodować ją w sobie. Być może, bardzo w to wierzę, nadejdzie dzień w którym suma niepodległości zawartej w poszczególnych Polakach, da nam Niepodległość całego narodu. Wtedy będzie czas na hołdy składane tym, którzy polegli. Dziś natomiast trzeba zakasać rękawy.

AGNIESZKA

Dziękujemy: Potwierdzamy odbiór 100 dolarów USA

Dodatek do "DROGI" nr. 17 - lipiec 1985